

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



ANTONI CZECHOW

POJEDYNEK

Tłumaczyła Natalia Gałczyńska

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

I

Była godzina ósma rano – pora, gdy oficerowie, urzędnicy i przyjezdni po gorącej, dusznej nocy zazwyczaj kapali się w morzu, a potem szli do pawilonu na kawę czy herbatę. Iwan Andrieicz Łajewski, młody szczupły blondyn lat dwudziestu ośmiu, w mundurowej czapce i w rannych pantoflach, przyszedł się kąpać i na brzegu zobaczył sporo znajomych, a wśród nich swojego przyjaciela, lekarza wojskowego Samojlenkę.

Ten Samojlenko, człowiek tęgi, otyły, czerwony, niemal bez szyi, z dużą ostrzyżoną głową i wielkim nochem, z gąszczem czarnych brwi i siwymi bokobrodami, a na dobitkę z chrypiącym żołnierskim basem, sprawiał na każdym nowo przybyłym nieprzyjemne wrażenie prostaka i zrzędy, ale już po paru dniach znajomości jego twarz wydawała się niezwykle dobra, miła i nawet ładna. Mimo niedźwiedziowatej postaci i szorstkiego tonu był to człowiek spokojny, niezmiernie dobry, pogodny i uczynny. Ze wszystkimi w mieście był na „ty”, wszystkim pożyczał pieniądze, wszystkich leczył, swatał, godził; urządzał wycieczki, na których smażył szaszłyki i gotował bardzo smaczną zupę z głowaczy; ciągle komuś pomagał i coś załatwiał, ciągle się z czegoś cieszył. Będąc według powszechnej opinii człowiekiem bez skazy, miał tylko dwie słabostki: po pierwsze, wstydził się własnej dobroci i starał się ją maskować surowym spojrzeniem i udaną szorstkością, po drugie, lubił, żeby felczerzy i żołnierze tytułowali go ekscelencją, jakkolwiek był tylko radcą stanu.

– Odpowiedz mi na jedno pytanie, Aleksandrze Dawidyczu – zaczął Łajewski, kiedy razem z Samojlenką zanurzył się w wodzie aż po ramiona. – Dajmy na to, zakochałeś się w jakiejś kobiecie i żyjesz z nią; przeżyłeś z nią, powiedzmy, dwa lata z górą, a potem, jak to się nieraz zdarza, zobojętniałeś i czujesz, że to obcy człowiek. Co byś zrobił w takim wypadku?

– Wiadomo co! Idź sobie, dobrodziejko, gdzie cię oczy poniosą, i sprawa załatwiona.

– Łatwo powiedzieć! A jeżeli ona nie ma dokąd iść? To kobieta samotna, bez rodziny, bez grosza przy duszy, pracować nie umie...

– No to co? Pięćset jednorazowo albo dwadzieścia pięć miesięcznie – i po krzyku. Prosta sprawa.

– Dajmy na to, że cię stać i na pięćset, i na dwadzieścia pięć miesięcznie, ale kobieta, o której mówię jest inteligentna i dumna. Czyżbyś się ośmielił zaproponować jej pieniądze? W jakiej formie?

Samojlenko chciał coś odpowiedzieć, ale w tym momencie wielka fala przewaliła się im nad głową, potem uderzyła o brzeg i rozlała się z łoskotem po drobnych kamykach. Obaj przyjaciele wyszli z wody i zaczęli się ubierać.

– Oczywiście, że niełatwo żyć z kobietą, skoro się nie kocha – powiedział Samojlenko wytrząsając piasek z buta. – Ale należy postępować po ludzku, Wania. Gdyby to mnie dotyczyło, aniby się nie zdradził, że już nie kocham, tylko żyłbym z nią aż do śmierci.

Nagle jednak zawstydził się tego, co powiedział, zaraz wycofał się:

– Zresztą dla mnie baby mogą w ogóle nie istnieć. Do diabła z nimi!

Obaj przyjaciele ubrali się i poszli do pawilonu. Tu Samojlenko czuł się jak u siebie w domu, nawet miał oddzielne naczynia na własny użytek. Każdego rana podawano mu na tacy filiżankę kawy, wodę z lodem w wysmukłej rżniętej szklance i kieliszek koniaku; naprzód wypijał koniak, potem gorącą kawę, potem wodę z lodem, i to musiało mu bardzo smakować, bo po wypiciu jego oczy nabierały oleistego blasku, przyglądał obu rękami swoje bokobrody i mówił patrząc na morze:

– Niezwykle piękny widok!

Po długiej nocy, spędzonej na niewesołych i bezpłodnych i rozmyślaniach, które odpędzały sen i jakby jeszcze zgęszczały duszną ciemność nocy, Łajewski czuł się zmęczony i senny. Kąpiel i czarna kawa niewiele mu pomogły.

– Wróćmy do naszej rozmowy, Aleksandrze Dawidyczu – powiedział. – Nie będę nic przed tobą ukrywał, powiem szczerze jako przyjacielowi: stosunki z Nadeżdą Fiodorowną układają się źle, bardzo źle! Wybacz, że cię wtajemniczam w moje sprawy, ale muszę się wypowiedzieć.

Samojlenko przeczuwając, o czym będzie mowa, opuścił oczy i zabębnił palcami po stole.

– Przeżyliśmy z sobą dwa lata i przestałem ją kochać... – ciągnął Łajewski – a właściwie zrozumiałem, że miłości w ogóle nie było. Te dwa lata to było oszukiwanie samego siebie.

Łajewski, prowadząc rozmowę, miał zwyczaj oglądania swoich różowych dłoni, gryzienia paznokci i miętoszenia mankietów. Teraz też robił to samo.

– Ja przecież wiem, że nie jesteś w stanie mi pomóc – powiedział – ale muszę o tym mówić, bo dla takiego jak ja pechowca i niepotrzebnego człowieka jedyny ratunek to rozmowa. Muszę uogólniać każdy mój czyn, muszę szukać wytłumaczenia i usprawiedliwienia dla mojego nieudanego życia w cudzych teoriach, w postaciach z literatury, w tym, na przykład, że my, szlachta, ulegamy degeneracji i tak dalej... Ubiegłej nocy, na przykład, pocieszałem się w ten sposób, że wciąż myślałem: ach, jaką Tolstoj ma rację, okrutną rację! I przez to było mi lżej. No bo rzeczywiście, bracie, to wielki pisarz! Co tu mówić.

Samojlenko, który zupełnie nie znał Tolstoja i każdego dnia zamierzał go przeczytać, powiedział zmieszany:

– Tak, wszyscy pisarze czerpią z wyobraźni, a on wprost z natury.

– Boże – westchnął Łajewski – do jakiego stopnia jesteśmy wypaczeni przez cywilizację. Pokochałem kobietę zamezną, ona mnie również... Z początku były pocałunki i ciche wieczory, i przysięgi, i Spencer, i ideały, i wspólne zainteresowania... Cóż za kłamstwo! Właściwie uciekliśmy od męża, ale okłamywaliśmy się, że uciekamy przed pustką naszego inteligentnego życia. Przyszłość wyobrażaliśmy sobie tak: na Kaukazie z samego początku, zanim zapoznamy się z miejscowością i ludźmi, włożę mundur i będą pracował w urzędzie, a z czasem kupimy sobie kawałek ziemi gdzieś za miastem, zaczniemy pracować w pocie czoła, założymy winnicę, będziemy uprawiać pole i tak dalej. Gdybyś to ty był na moim miejscu albo ten twój zoolog von Koren, przeżylibyście chyba z Nadeżdą Fiodorowną co najmniej trzydzieści lat, a potomstwu pozostawilibyście w spadku piękną winnicę i tysiąc dziesięcin kukuzydzy, ja natomiast od pierwszego dnia czułem się jak bankrut. W mieście nieznośny upał, nuda, pustka, wyjdiesz na pole – tu zdaje się, że pod każdym krzakiem i kamieniem czyhają jadowite falangi, skorpiony, żmije, a za polem już tylko góry i pustynie. Obcy ludzie, obca przyroda, nędzna kultura – to nie tak łatwo, bracie, jak spacerować w futrze po Newskim z Nadeżdą Fiodorowną pod rączkę i marzyć o ciepłych krajach. Tu potrzebna walka na śmierć i życie, a czyż ja jestem bojownik? Nędzny neurastenik, paniczek... Od pierwszego dnia zrozumiałem, że moje marzenia o pracowitym życiu, o winnicy psu na budę się nie zdadzą. Co do miłości, to mogę cię zapewnić, że pożycie z kobietą, która czytała Spencera i poszła za tobą na kraj świata, jest równie nieciekawe, jak z pierwszą lepszą Akuliną czy Anfiwą. Ten sam zapach żelazka, pudru i lekarstw, te same papiloty z rana, to samo oszukiwanie samego siebie...

– W gospodarstwie nie da rady bez żelazka – powiedział Samojlenko czerwieniejąc ze wstydu, że Łajewski mówi tak otwarcie o znanej doktorowi osobie. – Jesteś dziś nie w humorze, Wania, widzę to... Nadeżdza Fiodorowna to kobieta szlachetna, wykształcona, ty jesteś człowiekiem o niepospolitym umyśle... Że życie bez ślubu – ciągnął Samojlenko oglądając się na sąsiednie stoliki – to przecież nie wasza wina, a ponadto... trzeba wyzbyć się przesądów

i stanąć na poziomie współczesnych idei. Ja sam jestem za ślubem cywilnym, tak... Ale uważam, że skoroście się połączyli, to należy żyć razem aż do śmierci.

– Bez miłości?

– Zaraz ci wszystko wytłumaczę – powiedział Samojlenko. – Z osiem lat temu mieszkał tu u nas jeden pośrednik, już staruszek, człowiek o niepospolitym umyśle. Więc on nieraz mówił: w życiu małżeńskim najważniejsza rzecz to cierpliwość. Słyszysz, Wania? Nie miłość, lecz cierpliwość. Miłość nie może trwać długo. Dwa lata żyłeś w miłości, a teraz widocznie twoje małżeńskie życie weszło w ten okres, kiedy dla zachowania, że tak powiem, równowagi powinieneś wykazać jak największą cierpliwość.

– Ty wierzysz w dobrą radę staruszka pośrednika, a dla mnie to jakaś brednia. Twój staruszek mógł zachowywać się obłudnie, mógł ćwiczyć swoją cierpliwość, a nie kochaną osobę traktować jak przedmiot niezbędny do ćwiczeń, ale ja jeszcze tak nisko nie upadłem; jeżeli będę miał ochotę na ćwiczenie cierpliwości, to kupię sobie albo ciężary gimnastyczne, albo narowistego konia, ale człowieka zostawię w spokoju.

Samojlenko zażądał białego wina z lodem. Kiedy obaj przyjaciele wypili po szklance, Łajewski nagle zapytał:

– Powiedz mi, co to znaczy rozmiękczenie mózgu?

– Jak by ci to wytłumaczyć... to taka choroba, przy której mózg staje się miększy... jakby się rozrzedzał.

– Czy to uleczalne?

– Owszem, o ile choroba nie jest zaniedbana. Zimne natryski, plaster... No i coś do wewnątrz.

– Aha... Więc rozumiesz moją sytuację? Nie mogę żyć z tą kobietą, to ponad moje siły. Kiedy jestem z tobą, to i filozofuję, i uśmiecham się, ale w domu zupełnie się rozklejam. Przerazenie mnie ogarnia, bo gdyby, dajmy na to, zapowiedziano mi, że muszę z nią jeszcze przeżyć choćby tylko miesiąc, to ja chyba kulę w łeb bym sobie wpakował. A równocześnie nie mogę z nią zerwać. Jest samotna, nie umie pracować, żadne z nas nie ma pieniędzy... dokąd pójdzie? Do kogo się zwróci? Nic tu nie wymyślisz... doradz więc: co robić?

– Taak... – mruknął Samojlenko nie znajdując odpowiedzi. – Ona cię kocha?

– Owszem, kocha o tyle, o ile jej w tym wieku i przy tym temperamencie potrzebny jest mężczyzna. Byłoby jej równie trudno skończyć ze mną, jak z pudrem czy papilotami. Jestem dla niej jednym z niezbędnych składników jej buduaru.

Samojlenko zawstydział się.

– Tyś nie w humorze, Wania – powiedział. – Pewnie jesteś niewyspany.

– Tak, źle spałem... W ogóle czuję się kiepsko, bracie. W głowie pustka, serce zamiera, jakaś dziwna słabość... Trzeba uciekać!

– Dokąd?

– Tam, na północ. Między sosny i grzyby, do ludzi, do idei... Oddałbym pół życia, żeby móc teraz w moskiewskiej czy w tulskiej guberni wykąpać się w rzeczce, rozumiesz, zziębnąć trochę, a potem łaźić parę godzin choćby z byle jakim studenciną i gadać, gadać... Jak tam pachnie sianem! Pamiętasz? A wieczorami, kiedy chodzisz po ogrodzie, z domu dolatują dźwięki fortepianu, słyszeć, jak jedzie pociąg...

Łajewski roześmiał się z radością, w oczach zakręciły mu się łzy, więc żeby je ukryć, sięgnął do sąsiedniego stolika po zapalki.

– A ja już od osiemnastu lat nie byłem w Rosji – powiedział Samojlenko. – Zapomniałem, jak tam jest. Moim zdaniem nie ma kraju tak wspaniałego jak Kaukaz.

– Przypomniał mi się obraz Wereszczagina: na dnie potwornie głębokiej studni męczą się skazani na śmierć. Otóż właśnie taką studnię przypomina mi twój wspaniały Kaukaz. Gdyby kazano mi wybierać jedno z dwojga: być kominiarzem w Petersburgu czy księciem tutaj, wybrałbym kominiarza.

Łajewski zamyślił się. Patrząc na jego pochylone ciało, na oczy utkwione w jeden punkt, na bladą spoconą twarz i zapadłe skronie, na ogryzione paznokcie i na pantofel, który zsunął się z pięty i odsłonił nieudolnie zacerowaną skarpetkę, Samojlenko poczuł litość i może dlatego, że Łajewski przypomniał mu bezradne dziecko, zapytał:

– Czy twoja matka żyje?

– Tak, ale stosunki są zerwane. Nie mogła mi darować tego romansu.

Samojlenko lubił swojego przyjaciela. Uważał go za poczciwego chłopca, studenta, brata-łate, z którym można i popić, i pośmiać się, i pogadać od serca. To, co w nim rozumiał, właściwie mu się bardzo nie podobało. Łajewski pił dużo i nie w porę, grał w karty, gardził swoją pracą, żył ponad stan, często używał nieprzyzwoitych wyrazów, wychodził na ulicę w rannych pantoflach, kłócił się z Nadeżdą Fiodorową przy obcych – i to się Samojlence nie podobało. A że Łajewski był kiedyś na fakultecie filologicznym, że prenumerował teraz dwa grube periodyki, mówił często tak mądrze, że tylko nieliczni go rozumieli, i żył z kobietą inteligentną – tego wszystkiego Samojlenko nie rozumiał, ale to mu się podobało, stawiał więc Łajewskiego wyżej od siebie i szanował go.

– Jeszcze jeden szczegół – powiedział Łajewski potrząsając głową. – Ale niech to zostanie między nami. Na razie ukrywam to przed Nadeżdą Fiodorową, więc nie wygadaj się... Przedwczoraj otrzymałem wiadomość, że jej mąż zmarł na rozmiękczenie mózgu.

– Wieczne odpoczywanie... – westchnął Samojlenko. – Ale dlaczego to przed nią ukrywasz?

– Gdybym pokazał jej list, to by oznaczało: teraz do cerkwi i ślub! A przecież najpierw trzeba wyjaśnić nasze stosunki. Kiedy ona sama się przekona, że nie możemy dalej żyć ze sobą, wtenczas pokażę jej list. Wtenczas to niczym nie będzie groziło.

– Wiesz, Wania - powiedział nagle Samojlenko z żalnym, błagalnym wyrazem twarzy, jak gdyby chciał poprosić o coś wyjątkowo smacznego i bał się, żeby mu nie odmówiono. – Ożeń się, kochanie!

– Po co?

– Spełnij swój obowiązek wobec tej szlachetnej kobiety. Jej mąż zmarł, a więc sama opatrność wskazuje ci, co masz uczynić.

– Ależ zrozum, dziwaku jeden, że to niemożliwe. Ożenić się bez miłości jest rzeczą tak samo podłą i niegodną człowieka, jak odprawiać mszę bez wiary w Boga.

– Ale ty musisz!

– Dlaczego musisz? – zapytał Łajewski z irytacją.

– Boś ją zabrał mężowi i jesteś za nią odpowiedzialny.

– Mówię ci przecież wyraźnie: ja jej nie kocham!

– No to nie kochaj, ale szanuj, czcij...

– Szanuj, czcij... – przedrzeźniał go Łajewski. – jakby to była przeorysza... Kiepski z ciebie psycholog i fizjolog, jeżeli sądzisz, że żyjąc z kobietą można jechać na samym szacunku i czci. Kobiecie jest przede wszystkim potrzebne łóżko.

– Wania, Wania... – zawstydził się Samojlenko.

– Jesteś stare dziecko i teoretyk, a ja młody starzec i praktyk, więc nigdy się nie zrozumiemy. Lepiej dajmy temu spokój. Mustafu! – zawołał Łajewski do kelnera. Ile się od nas należy?

– Nie, nie... - przeraził się doktor chwytając Łajewskiego za rękę. – To ja płacę. Ja zama-
wiałem. Zapisz na mnie! – zawołał do Mustafy.

Obaj przyjaciele wstali i w milczeniu poszli nadbrzeżem. U wejścia na bulwar zatrzymali się i uścisnęli sobie ręce na pożegnanie.

– Wy wszyscy jesteście strasznie rozpieszczeni – westchnął Samojlenko. – Los ci zesłał kobietę młodą, ładną, wykształconą, a ty jej nie chcesz, ja natomiast, gdyby mi Bóg dał choć

pokraczną staruszkę, aby tylko dobrą, i czułą, już byłbym szczęśliwy. Mieszkałbym z nią w swojej winnicy i...

Samojlenko natychmiast zawstydział się własnej szczerości i dodał:

– I niech mi tam stara wiedźma samowar nastawia.

Pożegnawszy Łajewskiego ruszył przed siebie bulwarem. Gdy tak kroczył, wypinając pierś przyozdobioną Włodzimierzem z kokardą, masywny, dostoyny, z surowym wyrazem twarzy, w śnieżnobiałym kitlu i znakomicie wypucowanych butach, niewątpliwie w tym momencie bardzo się sam sobie podobał, a nawet zdawało mu się, że cały świat patrzy na niego z upodobaniem. Nie odwracając głowy rozglądał się na wszystkie strony i uważał, że bulwar prezentuje się całkiem dobrze, że młode cyprysy, eukaliptusy i brzydkie cherlawe palmy są bardzo piękne i z czasem dadzą dużo cienia, że Czerkiesi to naród prawy i gościnnie. „Dziwne, że Łajewski nie lubi Kaukazu – myślał – bardzo dziwne”. W drodze spotkał pięciu żołnierzy z karabinami, wszyscy zaszalutowali. Z prawej strony bulwaru przeszła chodnikiem żona znajomego urzędnika z synem gimnazystą.

– Dzień dobry, Mario Konstantinowno - zawołał do niej Samojlenko, mile uśmiechając się.

– Pani wraca z kąpieli? Cha-cha-cha... Ukłony dla Nikodima Aleksandrycza!

I poszedł dalej zachowując ten sam miły uśmiech, ale zauważywszy idącego naprzeciw felczera wojskowego, zmarszczył brwi, zatrzymał go i zapytał:

– Czy jest ktoś w szpitalu?

– Nie ma nikogo, ekscelencjo.

– Co?

– Nie ma nikogo, ekscelencjo.

– Dobrze, idź...

Kołysząc się majestatycznie podszedł do budki z lemoniadą, gdzie siedziała stara piersiasta Żydówka, podająca się za Gruzinkę, i powiedział do niej tak głośno, jakby wydawał komendę przed pułkiem:

– Poproszę panią uprzejmie o wodę sodową!

II

U Łajewskiego brak miłości do Nadieżdy Fiodorowny wyrażał się przeważnie w tym, że wszystko, cokolwiek mówiła i czyniła, sprawiało na nim wrażenie fałszu lub czegoś zbliżonego do fałszu, a wszystko, co zostało napisane przeciwko kobiecie i miłości, wydawało mu się jak najbardziej dopasowane do sytuacji ich trojga; jego, Nadieżdy Fiodorowny i jej męża. Kiedy wszedł do domu, ona – już ubrana i uczesana – siedziała przy oknie i z zatroskaną miną piła kawę przeglądając gruby zeszyt jakiegoś czasopisma, a jemu zaraz przyszło do głowy, że picie kawy nie jest wydarzeniem aż tak niezwykłym, by robić zatroskaną minę, i że modna fryzura jest niepotrzebną stratą czasu, bo tu i tak podobać się nie ma komu, i nie ma po co. W czytaniu czasopisma również dostrzegł jakiś fałsz. Pomyślał, że ona po to stroi się i czesze, żeby uchodzić za ładną, a czyta – by uchodzić za mądrą.

– Sądziś, że mogę pójść dzisiaj do kąpieli? – zapytała Nadieżda Fiodorowna.

– Cóż! Pójdziesz czy nie pójdziesz, od tego chyba trzęsienia ziemi nie będzie.

– Nie, ja dlatego pytam, że może doktor będzie miał pretensję.

– Zapytaj więc doktora. Nie jestem doktorem.

Tym razem Łajewskiemu najbardziej nie podobała się w Nadieżdzie Fiodorownie jej biała odstonięta szyja i loczki na karku; przypomniał sobie, że Annę Kareninę, gdy przestała kochać męża, najbardziej raziły jego uszy, i zaraz pomyślał: „Jakie to prawdziwe! Jakież prawdziwe!” – Czując słabość i pustkę w głowie, wszedł do gabinetu, położył się na kanapie i przykrył twarz chustką, żeby muchy nie dokuczały. Gnuśne, powolne myśli wciąż o tym sa-

mym snuły mu się po głowie niby długi szereg wozów w słotny jesienny wieczór, aż poczuł się senny i do reszty zgnębiony. Wydawało mu się, że zawinił wobec Nadieжды Fiodorowny i jej męża, że ponosi odpowiedzialność za jego śmierć. Wydawało mu się, że zawinił wobec własnego życia, które popsuł, wobec świata wzniosłych idei, trudów i wiedzy, bo ten cudowny świat nie mógł, jego zdaniem, istnieć tu, na wybrzeżu, gdzie szwendają się głodni Turcy i leniwi Abchazczycy, lecz tylko tam, na północy, gdzie jest opera, teatry, gazety i wszelkie rodzaje pracy umysłowej. Prawnym, rozumnym, szlachetnym i czystym człowiekiem można być tylko tam, ale nie tutaj. Oskarżał się o brak ideałów i przewodniej idei w życiu, chociaż niezbyt dobrze pojmował teraz, co to znaczy. Kiedy przed dwoma laty zakochał się w Nadieжды Fiodorownie, zdawało mu się, że wystarczy się z nią połączyć i wyjechać na Kaukaz, a zostanie wybawiony od pospolitości i pustki życia; teraz tak samo był przekonany, że wystarczy tylko porzucić Nadieжды Fiodorownę i wyjechać do Petersburga, a otrzyma wszystko, co mu jest potrzebne.

– Uciekać! – wymamrotał, siadając i gryząc paznokcie. – Uciekać!

Widział już w wyobraźni, jak wsiada na statek, potem je śniadanie, pije zimne piwo, gawędzi z paniami na pokładzie, później w Sewastopolu przesiada się do pociągu i jedzie. Witaj, wolności! Stacje migają jedna po drugiej, powietrze staje się coraz chłodniejsze i bardziej rzeźwe, oto brzozy i świerki, oto Kursk, Moskwa... W bufetach dworcowych kapuśniak, baranina z kaszą, jesiotry, piwo, słowem nie ma już azjatyckich, jest Rosja, prawdziwa Rosja. Pasażerowie w pociągu mówią o handlu, o nowych śpiewakach, o franko-rosyjskich sympatiach, wszędzie czuje się prawdziwe, kulturalne, inteligentne, wartkie życie... Prędeż, prędeż! Oto nareszcie Newski, Wielka Morska, a oto zaułek Kowieński, gdzie on kiedyś mieszkał ze studentami, oto najmiłsze szare niebo, mżący deszczyk, zmoczeni dorożkarze...

– Iwanie Andrieiczu! – zawołał czyjś głos z sąsiedniego pokoju. – Pan w domu?

– Jestem tutaj! – odezwał się Łajewski. – O co chodzi?

– Papiery!

Łajewski wstał z kanapy leniwie, z zawrotem głowy, z poziewaniem i szurając pantoflami poszedł do sąsiedniego pokoju. Tu przy otwartym oknie, wychodzącym na ulicę, stał jeden z jego młodych kolegów biurowych i rozkładał na parapecie papiery urzędowe.

– Zaraz, mój drogi – powiedział Łajewski miękko i poszedł szukać kałamarza; stanąwszy przy oknie podpisał papiery nie czytając ich i powiedział: – Gorąco!

– Taak. Przyjdzie pan dzisiaj?

– Chyba nie... Jakoś niedobrze się czuje. Niech pan powie Szeszkowskiemu, że wpadnę do niego po obiedzie.

Urzędnik wyszedł. Łajewski znowu położył się na kanapie i zaczął rozmyślać:

„Więc należałoby rozpatrzyć wszystkie okoliczności i zdecydować się. Zanim wyjadę, muszę pospłacać długi. Jestem winien blisko dwa tysiące rubli. Pieniądzy nie mam... To oczywiście nie jest takie ważne; część jakoś oddam, a resztę odeślę z Petersburga. Najważniejsza sprawa to Nadieжда Fiodorowna... Przede wszystkim trzeba wyjaśnić nasze stosunki... Tak”.

W chwilę potem zaczął się zastanawiać: czy nie pójść do Samojlenki i nie zasięgnąć u niego rady?

„Mogę pójść – myślał – ale jaki z tego pożytek? Znowu powiem coś od rzeczy – o buduarze, o kobietach, o tym, co jest albo nie jest uczciwe. Jakie tu, do diabła, mogą być rozmowy o uczciwości czy nieuczciwości, kiedy trzeba czym prędzej ratować swoje życie, kiedy duszę się, ginę w tej przeklętej niewoli. Przecież czas zrozumieć, że kontynuowanie takiego życia jak moje to podłość i okrucieństwo, wobec których wszystko jest nieważne”. – Uciekać! – mrucał siadając. – Uciekać!

Pusty brzeg morza, nieznośny upał i monotonia zamglonych, fioletowych gór, zawsze jednakowych i milczących, zawsze samotnych, przyprawiały Łajewskiego o melancholię i, jak mu się zdawało, usypiały go, okradały. Możliwe, że on jest bardzo mądry, utalentowany, nie-

zwykle prawy; możliwe, że gdyby go nie otaczały ze wszystkich stron góry i morze, zostałby wybitnym działaczem ziemskim, mężem stanu, mówcą, publicystą, bohaterem. Kto wie! Jeżeli tak, to nie ma sensu rozważać, czy to uczciwe, czy nieuczciwe, gdy człowiek uzdolniony i potrzebny, na przykład muzyk albo malarz, uciekając z więzienia, rozwala mur i oszukuje swoich dozorców. W takiej sytuacji wszystko jest uczciwe.

O godzinie drugiej Łajewski i Nadieżda Fiodorowna siedli do obiadu. Kiedy kucharka podała zupę pomidorową, Łajewski powiedział:

– Co dzień to samo. Czy nie można ugotować kapuśniaku?

– Kapusty nie ma.

– To dziwne. I u Samojsenki gotują kapuśniak, i u Marii Konstantinowny kapuśniak, tylko ja jeden muszę z niewiadomych powodów jeść tę słodką łurę. Przecież tak nie można, kochanie.

Dawniej, jak to nieraz bywa w małżeństwie, u Łajewskiego i Nadieżdy żaden obiad nie mijał bez kłótni i grymasów, ale od chwili gdy Łajewski stwierdził, że już nie kocha, zaczął dokładać starań, by ustępować Nadieżdzie we wszystkim, odzywał się do niej łagodnie i grzecznie, uśmiechał się, nazywał ją kochaniem.

– Ta zupa ma smak lukrecji – powiedział z uśmiechem: usiłował zachowywać się uprzejmie, ale w końcu nie wytrzymał i oświadczył: – U nas nikt nie zajmuje się gospodarstwem... Jeżeli jesteś aż tak chora czy pochłonięta lekturą, to proszę cię bardzo, ja sam mogę zająć się sprawami kuchni.

Dawniej byłaby powiedziała: „Zajmij się” albo: „Widzę, że chcesz zrobić ze mnie kucharkę”, ale teraz rzuciła mu tylko zaleźnione spojrzenie i zarumieniła się.

– Jak się czujesz dzisiaj? – zapytał tklawie.

– Dzisiaj nieźle. Jestem trochę osłabiona.

– Musisz się oszczędzać, kochanie. Bardzo się o ciebie boję.

Nadieżda była na coś chora. Samojsenko twierdził, że to malaria, i zalecał chininę; inny lekarz, Ustimowicz, wysoki szczupły odludek, który w dzień siedział w domu, a wieczorem pokaszując powolutku spacerował po bulwarze, zakładając do tyłu ręce i trzymając laskę wzdłuż pleców, uważał, że to choroba kobieca, i doradzał rozgrzewające kompresy. Dawniej, kiedy Łajewski był zakochany, choroba Nadieżdy Fiodorowny budziła w nim współczucie i obawę, teraz nawet chorobę uważał za jakiś fałsz. Żółta, senna twarz, apatyczny wzrok i poziewanie, które męczyło Nadieżdę po atakach malarycznych, i to, że podczas ataku leżała pod kocem bardziej podobna do chłopca niż do kobiety, i to, że w jej pokoju panował zaduch i niemiła woń – to wszystko, jego zdaniem, burzyło iluzję i było protestem przeciw miłości i małżeństwu.

Na drugie danie Łajewski dostał szpinak z jajkami na twardo, a Nadieżda, jako chora, kisiel z mlekiem. Gdy ona z zatroskaną miną najpierw dotknęła kisielu łyżką, a potem zaczęła powoli jeść popijając mlekiem i Łajewski usłyszał głośne łykanie, ogarnęła go tak ciężka nienawiść, że aż w głowie mu zaświerbiało. Wiedział, że takie uczucie nawet w stosunku do psa byłoby zniewagą, lecz pretensję o to uczucie miał nie do siebie, tylko do Nadieżdy, bo to ona je wywołała; teraz nawet rozumiał, że kochanek może zabić swoją kochankę. Sam oczywiście by nie zabił, ale gdyby w tej chwili miał wystąpić w roli sędziego przysięgłego, uniewinniłby zabójcę.

– Merci, kochanie – powiedział po skończonym obiedzie i pocałował Nadieżdę w czoło.

Wróciwszy do swojego gabinetu, kilka minut chodził z kąta w kąt, spoglądając z ukosa na swoje buty z cholewami, potem usiadł na kanapie i mruknął:

– Uciekać, uciekać! Wyjaśnić wszystko i uciekać!

Położył się na kanapie i znów przyszło mu na myśl, że może mąż Nadieżdy umarł z jego winy.

– Winić człowieka o to, że zakochał się czy przestał kochać, jest bez sensu – przekonywał sam siebie leżąc i zadzierając nogi do góry, żeby wciągnąć buty. – Miłość i nienawiść nie zależą od nas. A jeżeli chodzi o męża, to możliwe, że ja pośrednio też przyczyniłem się do jego śmierci, ale czy jestem winien, że zakochałem się w jego żonie, a ona we mnie?

W końcu wstał i odszukawszy czapkę udał się do Szeszkowskiego, do którego co dzień przychodzili koledzy biurowi na winta i zimne piwo.

„Tym brakiem zdecydowania przypominam Hamleta – medytował Łajewski już na ulicy. – Jak trafnie Szekspir to uchwycił! Ach, jak trafnie!”

III

Dla własnej rozrywki, a także by przyjść z pomocą nowo przybyłym i samotnym, którzy z braku restauracji w mieście nie mieli gdzie zjeść obiadu, Samojlenko zorganizował u siebie coś w rodzaju table d'hôte. W chwili obecnej zostało mu tylko dwóch stołowników: młody zoolog von Koren, zjeżdżający każdego lata nad Morze Czarne dla badań nad embriologią meduz, i diakon Pobiedow, który niedawno skończył seminarium duchowne i został skierowany służbowo do miasteczka jako zastępca starego diakona, przebywającego na kuracji. Za obiad i kolację płacili oni po dwanaście rubli miesięcznie i Samojlenko zobowiązał ich słowem honoru, że będą przychodzić na obiad punktualnie na drugą.

Von Koren zwykle zjawiał się pierwszy. Milcząc siadał w salonie, brał ze stołu album i zaczynał uważnie oglądać wyblakłe fotografie jakichś nie znanych sobie mężczyzn w szerokich pantalonach i cylindrach oraz dam w krynolinach i czepkach; Samojlenko niewielu z nich pamiętał z nazwiska, a o tych, których nie mógł już sobie przypomnieć, mówił z westchnieniem: „człowiek szlachetny, o niepospolitym umyśle!” Po obejrzeniu albumu von Koren brał z etażerki pistolet i mrużąc lewe oko dłuższą chwilę mierzył do portretu księcia Woroncowa albo stawał przed lustrem i oglądał swoją śniadą twarz, duże czoło i czarne, kędzierzawe jak u Murzyna włosy, i swoją koszulę z matowego perkalu w wielkie kwiaty, przypominającą perski dywan, i szeroki skórzany pas, zastępujący kamizelkę. Kontemplacja własnej osoby sprawiała mu chyba jeszcze większą przyjemność niż oglądanie fotografii czy pistoletu w kosztownej oprawie. Był bardzo zadowolony zarówno ze swojej twarzy, jak z pięknie utrzymanej bródki i barczystych ramion, które niezbitcie świadczyły o dobrym zdrowiu i mocnej budowie. Zadowolony był również ze swojej zalotnej elegancji, zaczynając od krawata, dobranego do koloru koszuli, a kończąc na żółtych butach.

Kiedy von Koren oglądał album i stał przed lustrem, w kuchni i w przyległej sieni Samojlenko bez surduta i kamizelki, z gołą piersią, zdenerwowany i ociekający potem, krzątał się koło stołów, przyrządzając sałatę czy jakiś sos, czy mięso, ogórki i szczypiorek do chłodnika, przy czym wściekle wytrzeszczał oczy na pomagającego mu ordynansa i zamierzał się nań to nożem, to łyżką.

– Podaj ocet! – rozkazywał. – Nie, nie ocet, tylko oliwę! – wrzeszczał tupiąc nogami. – Dokąd idziesz, bydlaku?

– Po oliwę, ekscelencjo – mówił drżącym tenorem ogłupiały ordynans.

– Prędeż! Stoi w szafie! I powiedz Dari, żeby dołożyła kopru do słoja z ogórkami. Kopru! Przykryj śmietaną, gapo, bo muchy wleczą!

Zdawało się, że od tego krzyku huczy cały dom. Kiedy do godziny drugiej brakowało zaledwie dziesięciu czy piętnastu minut, zjawiał się diakon, młodzieniec lat dwudziestu dwóch, szczupły, długowłosy, bez brody, z ledwo dostrzegalnym wąsem. Po wejściu do salonu zęgnął się przed obrazem, uśmiechał się i wyciągał ręce do von Korena.

– Dzień dobry! – mówił chłodno zoolog. – Gdzieś pan był?

– Na przystani, byczki łowiłem.

– No, oczywiście... Ten diakon chyba nigdy nie zajmie się żadną pracą.
– Dlaczego? Praca nie zając, do lasu nie ucieknie – mówił diakon z uśmiechem, wsuwając rękę w bezdenne kieszenie swojej szaty duchownej.

– Przydałoby się panu dobre lanie! – wzdychał zoolog.

Mijało piętnaście czy dwadzieścia minut, a obiadu wciąż nie podawano i tylko było sły-chać, jak ordynans walił butami, biegnąc z sieni do kuchni i z powrotem, jak Samojlenko wrzeszczał:

– Postaw na stole! Gdzie to pchasz? Wpierw umyj!

Wyglądzeni diakon i von Koren zaczęli tupać obcasami o podłogę, wyrażając przez to swoje zniecierpliwienie, zupełnie jak widzowie na galerii teatralnej. Wreszcie drzwi otwierały się i zmordowany ordynans oznajmiał: „Obiad na stole!” W jadalni witał ich purpurowy, zgrzany od kuchennego zaduchu, roześlony Samojlenko; patrzył na nich gniewnie, z wyrazem przerażenia na twarzy podnosił pokrywkę z wazy, nalewał zupę do talerzy i dopiero gdy widział, że obaj jedzą z apetytem i że zupa im smakuje, oddychał z ulgą i siadał na swoim głębokim fotelu. Jego twarz przybierała wyraz rozanielenia. Powoli nalewał sobie kieliszek wódki i mówił:

– Zdrowie młodego pokolenia"

Po rozmowie z Łajewskim Samojlenko przez cały czas od rana do obiadu, mimo wyśmienitego humoru, czuł w sercu jakiś ciężar; żał mu było Łajewskiego, chciałby mu pomóc. Po wypiciu kieliszka wódki przed zupą westchnął i powiedział:

– Widziałem się dziś z Wanią Łajewskim. Ten to ma ciężkie życie. Strona materialna wygląda kiepsko, a co najważniejsze. – psychologia go zadręcza. Szkoda chłopca.

– Jego to już wcale nie żałuję – odparł von Koren. – Gdyby ten sympatyczny mężczyzna topił się, popchnąłbym go jeszcze kijem: top się, bracie, top...

– Nieprawda. Nie zrobiłbyś tego.

– Myślisz? – wzruszył ramionami zoolog. – Mnie tak samo stać na dobrym uczynku, jak i ciebie.

– Czy utopienie człowieka to dobry uczynek? – zapytał diakon i zaśmiał się.

– Łajewskiego? Oczywiście.

– W tym chłodniku, zdaje się, czegoś brak... – powiedział Samojlenko, chcąc zmienić temat rozmowy.

– Łajewski jest bez wątpienia szkodliwy, a dla społeczeństwa tak samo niebezpieczny jak bakteria cholery – ciągnął von Koren. – Utopić go to po prostu zasługa.

– Nie przysparza ci zaszczytu, że się w ten sposób wyrażasz o swoim bliźnim. Powiedz: za co ty go nienawidzisz?

– Nie gadałbyś głupstw, doktorze. Nienawidzić bakterii i gardzić nią to nonsens, a uważać byle kogo, bez wyboru, za swojego bliźniego – dziękuję ślicznie – to znaczy: nie myśleć, zapomnieć o sprawiedliwym stosunku do ludzi, słowem, umyć ręce. Uważam twój Łajewskiego za szubrawca, bynajmniej tego nie ukrywam i traktuję go jak szubrawca z całą rzetelnością, na jaką mnie stać. Ty go uważasz za swojego bliźniego, to się z nim całuj; uważasz za bliźniego, a to znaczy, że masz do niego taki sam stosunek jak do mnie i do diakona, czyli nijaki. Jesteś po prostu jednakowo obojętny dla wszystkich.

– Nazwać człowieka szubrawcem! – Mruknął Samojlenko krzywiąc się z odrazą. – To takie brzydkie, że aż nie umiem ci tego wyrazić.

– O ludziach sędzi się po ich uczynkach – ciągnął von Koren. – Niech więc diakon osądzi... Chcę o tym pomówić z diakonem. Działalność pana Łajewskiego rozwija się przed nami jak tasiemcowy dokument chiński, możemy ją odczytać od początku do końca. Co on zrobił poprzez te dwa lata, odkąd tu zamieszkał? Policzmy na palcach. Po pierwsze, nauczył obywateli miasteczka grać w winta; przed dwoma laty ta gra nie była tu znana, natomiast dzisiaj wszyscy, nawet kobiety i podlotki, grają w winta od rana do późnej nocy; po drugie, nauczył

mieszczuchów pić piwo, które również nie było tu znane; jemu także mieszczychy zawdzięczają swoją wiedzę w dziedzinie rozmaitych gatunków wódek: nawet z zamkniętymi oczami mogą teraz odróżnić wódkę Koszelowa od Smirnowa numer dwadzieścia jeden. Po trzecie, dawniej mężczyźni żyli tutaj z cudzymi żonami po kryjomu, z tych samych pobudek, z jakich złodzieje kradną potajemnie, a nie jawnie; cudzołóstwo było uważane za coś takiego, czego się nie wystawia na widok publiczny; Łajewski natomiast okazał się w tym względzie pionierem: otwarcie żyje z cudzą żoną. Po czwarte...

Von Koren szybko zjadł chłodnik i oddał ordynansowi swój talerz.

– Rozgryzłem Łajewskiego już w pierwszym miesiącu naszej znajomości – ciągnął zwracając się do diakona. – Przyjechaliśmy tu w tym samym czasie. Tacy ludzie jak on ogromnie cenią przyjaźń, bliskość, solidarność, ponieważ im stale jest potrzebne towarzystwo do picia, jedzenia i kart; na dobitkę są oni gadatliwi i potrzebują słuchaczy. Zaprzyjaźniliśmy się, co oznacza, że on każdego dnia przyłączył do mnie, przeszkadzał mi w pracy i wynurzał się na temat swojej utrzymanki. Od pierwszej chwili uderzyło mnie w nim jakieś niezwykle zakłamanie, od którego aż mdliło. Jako przyjaciel łajałem go, że za dużo pije, że żyje nad stan i zaciąga długi, że nic nie robi i nie czyta, że jest mało kulturalny i mało umie, a on w odpowiedzi na wszystkie moje zarzuty uśmiechał się cierpko, wzdychał i mówił: „Jestem pechowcem, niepotrzebnym człowiekiem” albo: „Czego można się spodziewać po nas, skarłowaciałych potomkach feudałów?”, albo: „Jesteśmy zdegenerowani do cna...” Albo zaczynał pleść jakieś androny na temat Oniegina, Pieczorina, Byronowskiego Kaina, Bazarowa, o których mówił: „To nasi ojcowie z krwi i kości”. Należało to tak zrozumieć: on nie jest winien, że listy urzędowe tygodniami leżą nawet nie rozcięte, że on sam pije i rozpija innych, bo winę za to ponoszą Oniegin, Pieczorin i Turgieniew, który wynalazł pechowca i niepotrzebnego człowieka. Przyczyna tego plugastwa i popuszczania sobie cugli, uważa pan, tkwi – nie w nim samym, lecz gdzieś na zewnątrz, w powietrzu. A poza tym – jaki zręczny kawał – to nie on osobiście jest rozpustny, zakłamaný i plugawy, tylko my... „my, ludzie lat osiemdziesiątych”, „my, apatyczne, nerwowe pokolenie popańszczyźniane”, „my, spaczeni przez cywilizację...” Słowem, należy sądzić, że tak wielki człowiek, jak Łajewski, jest wielki nawet w upadku; że jego rozpusta, niechłujstwo i brak wykształcenia stanowią zjawisko biohistoryczne, uświęcone koniecznością, wynikające z przyczyn żywiołowych, kosmicznych, i że Łajewskiego trzeba na ołtarzu ustawić, ponieważ to niewinna ofiara epoki, prądów, dziedziczności i temu podobne. Urzędnicy i damy, słuchając go, zamierali z podziwu, ja natomiast długo nie mogłem zrozumieć, z kim mam do czynienia: z cynikiem czy też z cwany filutem? Takie typy jak on, na oko inteligentne, jako tako wychowane i wciąż rozprawiające o własnej szlachetności, potrafią stworzyć pozory niezwykle skomplikowanej organizacji duchowej.

– Zamilcz! - uniósł się Samojlenko. – Nie pozwolę, żeby w mojej obecności mówiono źle o najzaciejszym człowieku.

– Nie przerywaj mi, Aleksandrze Dawidyczu – odparł von Koren zimno. – Zaraz skończę. Łajewski to osobowość niezbyt skomplikowana. Oto jego zarys moralny: rano pantofle, kąpiel i kawa, przed obiadem pantofle, spacer i rozmówki, o godzinie drugiej pantofle, obiad i wino, o piątej kąpiel, herbata i wino, potem wint i łgarstwo, o dziesiątej kolacja i wino, a po północy sen i la femme. W tym ciasnym programie jest zawarta cała jego egzystencja jak jajko w skorupie. Czy idzie, czy siedzi, czy pisze, czy gniewa się, czy cieszy – wszystko sprowadza się do wina, kart, pantofli i kobiety. Kobieta w jego życiu gra rolę fatalną. Sam nieraz opowiada, jak mając trzynaście lat już był zakochany, a na pierwszym roku uniwersytetu żył z pewną damą, która wywierała na niego dobroczynny wpływ i której zawdzięcza swoje wykształcenie muzyczne. Na drugim roku wykupił prostytutkę z domu publicznego i podniósł ją ku sobie, czyli po prostu zrobił z niej swoją utrzymankę, ale przeżyła z nim zaledwie pół roku i uciekła z powrotem do właścicielki zakładu, a ta ucieczka sprawiła mu wiele cierpień. Niestety, tak cierpiał, że musiał opuścić uniwersytet i spędzić w domu dwa lata bez żadnego zaję-

cia. To zresztą obróciło się na lepsze. W domu zaczął romansować z pewną wdową, która doradziła mu rzucić fakultet prawniczy i przejść na filologiczny. Tak też uczynił. Po skończeniu studiów zakochał się bez pamięci w swojej obecnej... jak jej tam?... mężatce i musiał z nią uciekać na Kaukaz, rzekomo po ideały. Nie dziś to jutro miłość się skończy i on znów ucieknie z powrotem do Petersburga, również w poszukiwaniu ideałów.

– Skąd ty to wiesz! – warknął Samojlenko patrząc na zoologa ze złością. – Jedz, nie gadaj.

Podano głowacze z wody po polsku. Samojlenko nałożył swoim stołownikom na talerze po całym głowaczu i własnoręcznie polał sosem. Parę minut upłynęło w milczeniu.

– Kobieta gra ważną rolę w życiu każdego człowieka – powiedział diakon. – Nic na to nie poradzimy.

– Owszem, ale w jakim stopniu? Dla każdego z nas kobieta to matka, siostra, żona, przyjaciel, dla Łajewskiego zaś kobieta jest wszystkim, a przy tym tylko kochanką. Ona, czyli życie z nią, to szczęście i cel życia; Łajewski jest wesoły czy smutny, znudzony czy rozczarowany – dzięki kobiecie; życie obrzydło – kobieta zawiodła; zajaśniał świt nowego życia, odnalazły się ideały – tu też szukaj kobiety... Podobają mu się bez zastrzeżeń tylko te utwory czy obrazy, gdzie występuje kobieta. Nasza epoka, jego zdaniem, jest zła, jest gorsza niż lata czterdzieste i sześćdziesiąte tylko dlatego, że miłosna ekstaza i namiętność nie porywają już nas aż do samozapamiętania. Ci lubieżnicy chyba mają w mózgu jakąś podobną do sarkomy narośl, która uciska mózg i kieruje całą psychiką. Warto zaobserwować, jak zachowuje się, Łajewski, gdy jest w towarzystwie. Zauważcie tylko, panowie: kiedy się przy nim porusza jakieś ogólne zagadnienie, powiedzmy, o komórce czy instynkcie, on wtedy siedzi na uboczu, milczy i nie słucha; minę ma roztargnioną, rozczarowaną, nic go nie interesuje, wszystko jest dla niego banalne i nieważne: ale niech ktoś zacznie mówić o samcach i samicach, na przykład o tym, że u pajaków samica po zapłodnieniu zjada samca. – jemu zaraz oczy zapłoną ciekawością, twarz rozjaśni się, słowem, cały ożyje. Wszystkie jego myśli, bądź szlachetne i wzniosłe, bądź obojętne, zawsze krzyżują się w jednym punkcie. Idziecie z nim na przykład ulicą i spotykacie, dajmy na to, osła... „Ciekaw jestem, powiada, co by było, gdyby oślicę sparzyć z wielbłądem?” A sny! Czy opowiadał wam kiedykolwiek swoje sny? Coś niebywałego! to mu się śni, że jego żenią z kometą, to – że go wzywają na policję i każą, żeby żył z gitarą...

Diakon wybuchnął grzmiącym śmiechem. Samojlenko zasepił się i gniewnie zmarszczył twarz, żeby zachować powagę, ale w końcu nie wytrzymał i zaśmiał się.

– I wciąż zmyśla! – powiedział ocierając łzy. – Jak Boga Kocham, zmyśla!

IV

Diakon był bardzo skory do śmiechu i od byle głupstwa śmiał się do kolek w brzuchu, do łez. zdawało się, że wśród ludzi lubił przebywać tylko dlatego, że mają swoje śmieszne strony i że wszystkim można nadawać śmieszne przydomki. Samojlenkę przezwał tarantulą, jego ordynansa – kaczołem i nie posiadał się z zachwytem, gdy von Koren wyraził się kiedyś o Łajewskim i Nadzieździe Fiodorownie, że to makaki. Diakon bacznie wpatrywał się w twarze rozmawiających, słuchał nie mrugnawszy powieką i widać było, jak oczy rozszerza mu uśmiech, a twarz tężeje w oczekiwaniu – kiedy można będzie nareszcie wyśmiać się do woli.

– To rozwiążły, zdeprawowany typ – ciągnął zoolog, a diakon, oczekując śmiesznych wyrażań, wpił się oczami w jego twarz. – Rzadko się spotyka takie zera. Ciało ma anemiczne, cherlawe, starcze, a pod względem intelektu niczym się nie różni od grubej kupcowej, która tylko żre, pije, śpi na pierzynie i utrzymuje stosunek miłosny ze swoim stangretem.

Diakon znów wybuchnął śmiechem.

– Proszę się nie śmiać, diakonie. – powiedział von Koren – to naprawdę niemądre. Żadnej uwagi nie zwróciłbym na tę marną osobistość – ciągnął, wyczekawszy, aż diakon przestał się śmiać – przeszedłbym koło niej obojętnie, gdyby nie była tak szkodliwa i niebezpieczna. Szkodliwość Łajewskiego polega przede wszystkim na powodzeniu u kobiet, co grozi potomstwem, czyli sprezentowaniem świata tuzina Łajewskich, równie cherlawych i zdeprawowanych jak on sam. Po drugie, zaraża on wszystkich dookoła siebie. Już wspominałem o wincie i piwie. Jeszcze rok, jeszcze dwa, a Łajewski podbije całe wybrzeże kaukaskie. Wiecie chyba, jak dalece ogół ludzi, zwłaszcza warstwy średnie, zważa na wykształcenie uniwersyteckie, inteligencję, szlachetne pozory i literacką gładkość języka. Jakikolwiek paskudztwo zrobiłby Łajewski, wszyscy i tak będą uważali, że to słuszne, że tak być powinno, bo to człowiek inteligentny, liberalny, z wyższym wykształceniem. A w dodatku pechowiec, niepotrzebny człowiek, neurastenik, ofiara epoki, co oznacza, że mu wszystko wolno. To swój chłop, szczerza dusza; on tak wyrozumiale traktuje ułomności ludzkie, jest tak ustepliwy, zgodny, łatwy, niezrozumiały, z nim można i popić, i poplotkować, i poświntuszyć... Ogół ludzi, zawsze skłonny do antropomorfizmu w religii i moralności, najbardziej wielbi te bóstwa, które mają podobne wady, co on. Zważcie więc, jak szerokie pole do zarazy leży przed Łajewskim. W dodatku to niezły aktor i zręczny hipokryta, dobrze wie, co w trawie piszczy. Przypomnijcie sobie jego wybiegi i sztuczki, na przykład choćby jego stosunek do cywilizacji. Ani jej nawet liznął, a mimo to: „Ach, jak jesteśmy zepsuci przez cywilizację! Ach, jakże zazdroszczę dzikusom, tym dzieciom natury, co nie znają cywilizacji!”. To ma oznaczać, proszę panów, że on kiedyś w dalekiej przeszłości był oddany cywilizacji całym sercem, służył jej, zgłębił ją do dna, ale znużyła go, zawiodła, rozczarowała; on, uważacie, to Faust, to drugi Tołstoj... A Schopenhauera i Spencera traktuje jak młokosów, protekcyjnie klepie ich po ramieniu: no jak tam, Spencerze, co słychać, bracie? Spencera naturalnie nie czytał, ale z jakim wdziękiem, z jak lekką, niedbałą ironią mówi o swojej damulce: „Ona czytała Spencera!” A wszyscy go słuchają i nikt nie chce zrozumieć, że ten szarlatan nie tylko nie ma prawa mówić o Spencerze takim tonem, ale nawet ucałować buta Spencera. Podkopywać się pod cywilizację, pod autorytety, pod cudze ołtarze, opryskiwać je błotem, błazeńsko mrugać do nich jedynie po to, żeby usprawiedliwić i ukryć swoje cherlactwo i ubóstwo moralne, może tylko zwierzę bardzo samolubne, nędzne i nikczemne.

– Nie rozumiem, Kola, czego ty od niego chcesz? – powiedział Samojlenko patrząc na zoologa już nie ze złością, tylko z lękiem. – To taki sam człowiek jak wszyscy. Naturalnie, że ma swoje słabostki, ale przecież jest na poziomie dzisiejszych idei, pracuje, ojczyzna ma z niego pożytek. Dziesięć lat temu mieszkał tu staruszek pośrednik, człowiek o niepospolitym umyśle... Więc on mówił...

– Dość, dość! – przerwał mu zoolog. – Powiadasz: Łajewski pracuje. Ale jak? Czy przez to, że się tu zjawił, mamy lepszy porządek, a urzędnicy stali się bardziej sprawni, uczciwi i grzeczni? Na odwrót, on przez swój autorytet człowieka inteligentnego, z wyższym wykształceniem, tylko sankcjonuje ich odwieczne niedbalstwo. Spełnia swoje obowiązki jedynie dwudziestego każdego miesiąca, gdy bierze pensję, bo w pozostałe dni tylko szura pantoflami po domu i usiłuje przybrać taki wyraz twarzy, jakby robił łaskę rosyjskiemu rządowi, że mieszka na Kaukazie. Nie, Aleksandrze Dawidycz, nie broń Łajewskiego. Jesteś nieszczerzy od początku do końca. Gdybyś go naprawdę kochał i uważał za swojego bliźniego, nie patrzyłbyś obojętnie na jego wady, nie tolerowałbyś ich, ale dla jego dobra starałbyś się go unieszkodliwić.

– To znaczy?

– Unieszkodliwić. Ponieważ Łajewski nigdy się nie poprawi, można go unieszkodliwić tylko w ten sposób...

Von Koren zrobił wymowny gest ręką koło szyi.

– A może lepiej utopić... – dodał. – To leży w interesie społeczeństwa, a także w naszym własnym interesie, żeby tacy ludzie byli niszczeni. Bezwarunkowo.

– Co ty wygadujesz?! – jęknął Samojlenko podnosząc się i patrząc w zdumieniu na spokojną, zimną twarz zoologa. – Diakonie, co on wygaduje? Zwariowałeś?

– Nie upieram się przy karze śmierci – powiedział von Koren. – Skoro udowodniono, że jest szkodliwa, wymyślcie coś innego. Nie można zabić Łajewskiego, niech więc zostanie izolowany, pozbawiony praw, zesłany na ciężkie roboty...

– Co ty wygadujesz? – przeraził się Samojlenko. – Z pieprzem, z pieprzem! – krzyknął rozpaczliwym głosem, widząc, że diakon je nadziewane kabaczki bez pieprzu. – Ty, człowiek o niepospolitym umyśle, co ty wygadujesz?! Nasz przyjaciel, dumny, inteligentny człowiek, ma być zesłany na roboty publiczne!

– A jeżeli jest dumny i będzie stawiał opór – kajdany!

Samojlenko nie mógł już wykrztusić ani słowa i tylko poruszał palcami; diakon spojrzał na jego oszołomioną, naprawdę komiczną twarz i wybuchnął śmiechem.

– Przestańmy o tym mówić – powiedział zoolog. – Pamiętaj tylko jedno, Aleksandrze Dawidyczu: społeczeństwa pierwotne broniły się przed takimi typami jak Łajewski walką o byt i selekcją; dzisiaj nasza kultura w znacznej mierze stepiła walkę i selekcję, musimy więc sami zatroszczyć się o zagładę niezdatnych i cherlawych osobników, bo w przeciwnym wypadku, gdy Łajewscy się rozmnożą, cywilizacja zginie, a ludzkość całkowicie się zdegeneruje. To będzie nasza wina.

– Jeżeli trzeba wieszać i topić ludzi – zawołał Samojlenko – to niech diabli wezmą cywilizację i ludzkość. Do diabła! Wiesz, co ci powiem: tyś człowiek niezwykle wykształcony, o niepospolitym umyśle, chluba ojczyzny, ale ciebie Niemcy zbałamucili. Tak, Niemcy! Niemcy!

Samojlenko, z chwilą gdy wyjechał z Dorpatu, gdzie studiował medycynę, rzadko widywał Niemców i nie przeczytał żadnej niemieckiej książki, ale był święcie przekonany, że całe zło w polityce i nauce spowodowali Niemcy. Skąd mu przyszło do głowy podobne przekonanie, tego sam nie umiałby wytłumaczyć, ale trzymał się go mocno.

– Tak, Niemcy! – powtórzył jeszcze raz. – Chodźmy na herbatę.

Wszyscy trzej wstali i włożywszy kapelusze przeszli do ogródka, gdzie usiedli w cieniu białych klonów, grusz i kasztanów. Zoolog i diakon zajęli ławkę przy stoliku, a Samojlenko uplasował się na trzcinowym fotelu z szerokim, pochyłym oparciem. Ordynans podał herbatę, konfitury i butelkę syropu.

Było bardzo gorąco, może trzydzieści stopni w cieniu. Upalne powietrze zamarło nieruchomo, jakby stężało, a długa pajęczyna, zwieszająca się z gałęzi kasztanu aż do ziemi, zawisła bezwładnie i nie poruszała się.

Diakon wziął gitarę, która stale leżała na ziemi koło stołu, nastroił ją i zanucił po cichu, cienkim głosem: „Młodziankowie seminaryjni prym w gospodzie wiodą...”, ale z gorącą natychmiast umilkł, wytarł pot z czoła i spojrzał w górę na szafirowe, upalne niebo. Samojlenko zdrzemnął się; od skwaru, ciszy i słodkiej poobiedniej senności, która ogarnęła wszystkie jego członki, poczuł się słaby i podchmielony, ręce mu zwisły, oczy zmalowały, głowa opadła na pierś. W łzawym rozczuleniu spojrzał na von Korena i diakona i zamamrotał:

– Młode pokolenie... Gwiazda nauki i kaganiec wiary... Tylko patrzeć, jak ta długoszata alleluja wykieruje się na metropolitę, kto wie, czy człowiek nie będzie musiał całować w rączkę... Cóż... daj Boże...

Wkrótce rozległo się chrapanie. Von Koren i diakon dopili herbatę i wyszli na ulicę.

– Pan znów na przystań łowić byczki? – zapytał zoolog.

– Nie, za gorąco.

– Chodź pan do mnie. Spakuje mi pan paczkę do wysłania i coś niecoś przepisze. Przy okazji rozważymy, czym się pan ma zająć. Bo trzeba pracować, diakonie. Tak nie można.

– Pańskie słowa są słuszne i logiczne – odparł diakon – lecz lenistwo moje znajduje sobie usprawiedliwienie w okolicznościach mojego obecnego żywota. Sam pan rozumie, że niepewność sytuacji w znacznym stopniu przyczynia się do stanu apatii. Czy mnie tutaj przysła- no chwilowo, czy na stałe – Bóg jeden wie; żyję w ciągłej niepewności, a moja diakonica wegetuje u ojca i nudzi się. Przyznaję też, że od tych upałów mózg się człowiekowi rozkleja.

– Brednie! – oświadczył zoolog. – I do upałów można się przyzwyczaić, i bez diakonicy można przeżyć. Nie należy się pieścić. Trzeba wziąć się w garść.

V

Nadieżda Fiodorowna szła rano do kąpieli, a za nią sunęła jej kucharka Olga z dzbanem, z miedzianą miednicą, gąbką i prześcieradłami. Na redzie stały jakieś dwa nieznane statki o brudnych białych kominach, prawdopodobnie cudzoziemskie towarowe. Jacyś mężczyźni w białych ubraniach, w białych butach chodzili po przystani i głośno krzyczeli po francusku, a ze statków coś im odhukiwano. W miejskiej cerkiewce wesoło dzwoniły dzwony.

„Dzisiaj niedziela!” – przypomniała sobie z zadowoleniem Nadieżda.

Czuła się zupełnie zdrowa i była w świetnym, prawdziwie świątecznym humorze. Nowa szeroka suknia z szorstkiej męskiej chesuczy i duży słomkowy kapelusz o szerokich brzegach tak mocno przygiętych ku uszom, że twarz jakby wychylała się z koszyka, dodawały Nadieżdzie miłego przeświadczenia o własnym wdzięku. Uważała, że w całym mieście jest tylko jedna młoda, ładna, inteligentna kobieta – właśnie ona. I że tylko ona jedna umie ubrać się tanio, wykwitnie i ze smakiem. Na przykład ta suknia kosztuje zaledwie dwadzieścia dwa ruble, a przecież arcywdzięczna! W całym mieście może się podobać tylko jedna Nadieżda Fiodorowna, mężczyzn natomiast jest dużo, siłą rzeczy więc muszą zazdrościć Łajewskiemu.

Cieszyło ją, że Łajewski od jakiegoś czasu zachowuje się wobec niej zimno, z powściągliwą grzecznością, a chwilami bywa nawet arogancki i opryskliwy; dawniej na wszystkie jego wybryki i zimne, pogardliwe czy dziwne, niezrozumiałe spojrzenia zareagowałaby łzami, wymówkami i pogroźkami, że wyjedzie albo zagłodzi się na śmierć, teraz natomiast tylko czerwieniła się, spoglądała na niego jak winowajczyni i cieszyła się, że jej nie pieści. Byłoby nawet jeszcze lepiej, gdyby urągał i groził, bo czuła się wobec niego pod każdym względem winna. Zdawało jej się, że jest winna, po pierwsze dlatego, że nie podziela ego marzeń o życiu pełnym pracy, dla którego opuścił Petersburg i przeniósł się na Kaukaz, a nawet była przekonana, że ostatnimi czasy właśnie to jest powodem jego dąsów. Kiedy jechała na Kaukaz, zdawało jej się, że już pierwszego dnia znajdzie tutaj odosobniony zakątek na brzegu, jakiś zaciszny ogródek z cieniem, ptakami i strumykami, gdzie można będzie sadzić kwiaty i jarzyny, hodować kury i kaczki, przyjmować sąsiadów, leczyć biednych chłopów i rozdawać im książki; okazało się jednak, że Kaukaz to łyse góry, lasy i olbrzymie doliny, gdzie trzeba długo szukać i długo zabiegać, żeby się pobudować, i że nie ma żadnych sąsiadów, natomiast jest bardzo gorąco i każdej chwili można zostać obrabowanym. Łajewski nie spieszył się z kupnem kawałka ziemi! Nadieżda była z tego bardzo zadowolona i oboje jakby zawarli milczącą umowę, że ani wspomną o życiu pełnym pracy. Milczy, myślała Nadieżda, a więc gniewa się na nią za to, że i ona milczy.

Po drugie, bez wiedzy Łajewskiego przez te dwa lata nabrała na kredyt w sklepie Aczmi- janowa rozmaitych drobiazgów na sumę trzystu rubli. Brała po trochu: to materiał, to jedwab do szycia, to parasolkę, aż nieznacznie uzbierał się taki dług.

– Dzisiaj to jemu powiem... – postanowiła, ale natychmiast zorientowała się, że Łajewskiemu w tym nastroju raczej nie należy mówić o długach.

Po trzecie, już dwa razy pod nieobecność Łajewskiego przyjęła u siebie przystawa Kirilina: raz rano, kiedy Łajewski poszedł do kąpieli, i raz o północy, kiedy grał w karty. Przypo-

mniawszy sobie o tym, Nadieżda spłonęła rumieńcem i obejrzała się na kucharkę, jakby w obawie, żeby ta nie podsłuchiwała jej myśli. Długie, nieludzko upalne, nudne dni, piękne, drażniące wieczory, duszne noce i całe to życie, kiedy od rana do nocy nie wie się, na co zużyć niepotrzebny czas, i natrętna myśl, że się jest młodą i najładniejszą w mieście kobietą, a młodość mija bez sensu, i wreszcie sam Łajewski, uczciwy, ideowy, ale monotony, wiecznie szurający pantoflami, ogryzający paznokcie i zanudzający kapryśnym usposobieniem – wszystko złożyło się na to, że Nadieżdę stopniowo ogarnęły pragnienia i jak szalona dzień i noc myślała wciąż o tym samym. W swoim oddechu, w spojrzeniach, w głosie i w ruchach czuła tylko i wyłącznie pragnienie; szumiące morze mówiło jej, że trzeba kochać, wieczorny mrok – to samo, góry – to samo... I gdy Kirilin zaczął jej nadszkarzać, nie chciała, nie była w stanie się oprzeć i oddała mu się...

Teraz cudzoziemskie statki i ludzie w bieli nie wiadomo czemu wywołali w jej myśli obraz jakiejś ogromnej sali; razem z francuską mową zabrzmiały w uszach wesołe dźwięki walca, a pierś drgnęła radośnie. Zachciało jej się tańczyć i mówić po francusku.

Myślała z zadowoleniem, że jej zdrada nie jest znowu tak straszna. Jej zdrada odbyła się bez udziału serca; ona przecież nadal kocha Łajewskiego, o czym świadczy to, że jest zazdrosna, że lituje się nad nim i tęskni, gdy go nie ma w domu. A Kirilin, jak się okazało, to nic nadzwyczajnego, typ dość prostacki, choć przystojny, z nim już wszystko skończone i nigdy się nie powtórzy. Co było, to minęło i nikogo nie powinno obchodzić, a jeżeli Łajewski nawet się dowie, to i tak nie uwierzy.

Na brzegu była tylko jedna budka kąpielowa dla pań, mężczyźni kąpali się po prostu pod gołym niebem. W budce Nadieżda zastała Marię Konstantinownę Bitiugową, żonę urzędnika, damę już leciwą, oraz jej piętnastoletnią córkę Katię, gimnazjaliskę; obie siedziały na ławeczce i rozbrajały się. Maria Konstantinowna była to osoba zacna, delikatna i egzaltowana, mówiąca przeciągle, z patosem. Do trzydziestego drugiego roku życia mieszkała w rozmaitych domach jako guwernantka, później wyszła za urzędnika Bitiugowa, niziutkiego, łysiego człowieczka, zaczesującego włosy na skronie i bardzo łagodnego. Maria Konstantinowna była w nim wciąż zakochana, dręczyła się zazdrością, płonęła rumieńcem przy słowie „miłość” i zapewniała wszystkim, że jest ogromnie szczęśliwa.

– Moja najdroższa! – zawołała entuzjastycznie na widok Nadieżdy, przyoblekając twarz w ten wyraz, który wszyscy nazywali „sacharynowym”. – Najmilsza, jak to dobrze, że pani przyszła. Będziemy kąpać się razem, to po prostu uroczę!

Olga szybko zdjęła suknię i koszulę i zaczęła rozbrajać swoją panią.

– Prawda, że dzisiaj nie jest tak duszno jak wczoraj? – powiedziała Nadieżda Fiodorowna kuląc się przed szorstkimi dotknięciami gołej kucharki. – Wczoraj niemal umierałam z gorąca.

– O tak, moja najmilsza. Ja też po prostu nie miałam czym oddychać. Czy pani uwierzy, że wczoraj kąpałam się trzy razy... proszę sobie wyobrazić – trzy razy! Nikodim Aleksandrycz aż się zaniepokoił.

„No jak można być czymś tak brzydkim?” – zdumiała się w myśli Nadieżda Fiodorowna, patrząc na Olgę i na Bitiugową; potem spojrzała na Katię i pomyślała: „Dziewczynka nie najgorzej zbudowana”.

– Nikodim Aleksandrycz jest przemiły – oświadczyła. – Po prostu się w nim kocham.

– Cha-cha-cha! – roześmiała się z przymusem Maria Konstantinowna. – To uroczę!

Pozbywszy się odzieży Nadieżda poczuła chęć do latania w powietrzu. I wydało jej się, że gdyby machnęła rękoma, to niewątpliwie pofrunęłaby w górę. Rozebrawszy się zauważyła, że Olga patrzy z odrazą na jej białe ciało. Olga, młoda żołnierka, żyła ze swoim ślubnym mężem i z tej racji uważała się za osobę godziwszą i lepszą od niej. Nadieżda Fiodorowna wyczuwała też, że Bitiugowa i Katia nie szanują jej i boją się. To było przykre, żeby więc dodać sobie znaczenia w ich oczach, powiedziała niedbale:

– U nas w Petersburgu teraz sezon letniskowy w pełni. My z mężem mamy tylu znajomych. Trzeba by było pojechać w odwiedziny.

– Pani mąż, zdaje się, jest inżynierem? – zapytała nieśmiało Bitiugowa.

– Mówię o Łajewskim. On ma bardzo dużo znajomych. Ale jego matka, niestety, to dumna arystokratka, dość ograniczona...

Nadieżda nie dokończyła i rzuciła się do wody; za nią poczłapała Maria Konstantinowna i Katia.

– U nas w wyższych sferach w ogóle za dużo przesądów – ciągnęła Nadieżda – i życie bynajmniej nie jest tak łatwe, jak się wydaje.

Bitiugowa, która w swoim czasie była guwernantką w rodzinach arystokratycznych i знаła się na wyższych sferach, przytaknęła.

– O tak! Czy pani uwierzy, że u Garatyńskich wymagano starannej toalety i do śniadania, i do obiadu, toteż oprócz pensji dostawałam jak aktorka dodatek na stroje.

Stanął pomiędzy Nadieżdą i Katią jakby odgradzając swoją córkę od tej wody, która otaczała Nadieżdę. Przez otwarte drzwi, prowadzące wprost na morze, było widać, jak ktoś płynie w odległości stu kroków od budki.

– Mamo, to nasz Kostia! – powiedziała Katia.

– Ach, ach! – wydzakała w przerażeniu Maria Konstantinowna. – Ach, Kostia! – krzyknęła. – Wracaj! Kostia, wracaj!

Czternastoletni Kostia, chcąc popisać się odwagą przed matką i siostrą, dał nura i popłynął dalej, ale prędko zmęczył się i zawrócił, a na jego poważnej, naprężonej twarzy malował się wyraźny brak zaufania do własnych sił.

– Kłopot z tymi chłopakami, droga pani! – powiedziała Bitiugowa, uspokoiwszy się. – Tylko patrzeć, jak kark sobie skręci. Ach, moja droga, jak przyjemnie, ale jak ciężko być matką! Człowiek wszystkiego się boi.

Nadieżda włożyła swój słomkowy kapelusz i wysunęła się z budki na otwartą przestrzeń. Przepłynęła kilka sążni i położyła się na plecach. Widziała morze aż po linię horyzontu, statki, ludzi na brzegu, miasto, a to wszystko – łącznie z upałem i przejrzystymi, pieszczotliwymi falami – podniecało ją, szeptało jej, że trzeba żyć, żyć... Tuż obok, energicznie prując fale i powietrze, przemknęła żaglowa łódka; mężczyzna, siedzący przy sterze, patrzył na Nadieżdę i było jej przyjemnie, że patrzy...

Po kąpieli panie ubrały się i wyszły razem.

– Co drugie dzień mam gorączkę, a mimo to nie chudnę – mówiła Nadieżda, oblizując słone po kąpieli wargi i odpowiadając uśmiechem na ukłony znajomych. – Nigdy nie byłam szczupłą, a teraz, zdaje się, jeszcze utylam.

– To, moja droga, zależy od skłonności. Jeżeli ktoś nie jest skłonny do tycia, jak na przykład ja, to żadne jedzenie nie pomoże. Ale, moja droga, pani kapelusz jest zupełnie mokry.

– Nie szkodzi, wyschnie.

Nadieżda znów zobaczyła biało ubranych ludzi, którzy chodzili po nabrzeżu i rozmawiali po francusku; nie wiadomo czemu jej pierś znowu drgnęła radośnie, a w pamięci niewyraźnie zarysowała się jakaś wielka sala, w której kiedyś tańczyła, a może tylko widziała to we śnie. I jakiś głos mówił jej w głębi duszy, że jest płytką, wulgarną, nędzną, nikczemną kobietą.

Bitiugowa zatrzymała się przed swoją bramą i poprosiła Nadieżdę, żeby wstąpiła do niej choć na chwilę.

– Moja najmilsza, bardzo panią proszę! – powiedziała błagalnym tonem i równocześnie spojrziała na Nadieżdę z niepokojem i nadzieją: może, Bóg da, odmówi!

– Z przyjemnością – oświadczyła Nadieżda. – Pani wie, jak chętnie bywam u pani!

I weszła do domu. Maria Konstantinowna usadowiła ją na fotelu, podała kawę, poczęstowała maślanymi bułeczkami, potem pokazała jej fotografie swoich dawnych wychowanek, panien Garatyńskich, które już powychodziły za mąż, pokazała także cenzurki Kati i Kosti;

stopnie były bardzo dobre, ale by wydały się jeszcze lepsze, zaczęła się uskarżać, jak trudno jest teraz w gimnazjum... Maria Konstantinowna dogadzała gościowi jak mogła, a litując się szczerze nad młodą kobietą równocześnie czuła obawę, że obecność Nadieźdy Fiodorowny może źle wpłynąć na moralność Kati i Kosti, i pomimo wszystko była zadowolona, że Nikodima Aleksandrycza nie ma w domu. Ponieważ jej zdaniem mężczyźni na ogół lubią „takie osoby”, Nadieźda Fiodorowna mogła wpłynąć demoralizująco również i na Nikodima Aleksandrycza.

Gawędząc z gościem Bitiugowa przez cały czas myślała, że dziś wieczorem ma się odbyć wycieczka za miasto i że von Koren stanowczo prosił o niezapraszanie makak, czyli Łajewskiego i Nadieźdy, ale przypadkiem napomknęła o wycieczce, splonęła rumieńcem i wyjąkała niepewnie:

– Mam nadzieję, że i państwo też będziecie!

VI

Uczestnicy wycieczki umówili się, że wyjadą za miasto o siedem wiorst drogą prowadzącą na południe, zatrzymają się koło tatarskiego duchanu, przy zbiegu dwóch rzeczek – Czarnej i Żółtej – i będą tam gotować zupełną rybą. Wyruszyli zaraz po piątej. Na czele jechali kabrioletem Samojlenko i Łajewski, za nimi powozem w trójkę koni Bitiugowa, Nadieźda, Katia i Kostia; wieźli ze sobą kosz z prowiantem i naczynia. W drugim powozie jechali przystaw Kirilin i młody Aczmijanow, syn tego kupca Aczmijanowa, któremu Nadieźda była winna trzysta rubli, a na ławeczce naprzeciwko nich, garbiąc się i podkurczając nogi, siedział Nikodim Aleksandrycz Bitiugow – malutki, schludniutki, z włosami zaczesanymi na skronie. W tyle za wszystkimi jechali von Koren i diakon; u nóg diakona stał kosz z rybami.

– Na prawo! – wrzeszczał co głosu Samojlenko, gdy mijał ich dwukołowy wóz albo Abchaczyc na osle.

– Za dwa lata, kiedy już będę miał gotowe wszystko – i środki, i ludzi – pojedę na ekspedycję – mówił diakonowi von Koren. – Pójdę wybrzeżem od Władywostoku do Zatoki Beringa, a później od zatoki do ujścia Jenisieju. Narysujemy mapę, zbadamy faunę i florę, gruntownie zajmiemy się geologią i badaniami antropologicznymi i etnograficznymi. Od pana zależy, czy pójdzie pan ze mną czy nie.

– To niemożliwe – odparł diakon.

– Dlaczego?

– Nie jestem człowiekiem niezależnym, mam rodzinę.

– Diakonica pana puści. Zabezpieczymy ją. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby ją pan przekonał, że dla dobra sprawy powinna wstąpić do klasztoru; wtedy pan również mógłby zostać mnichem i pojechać na ekspedycję jako ojciec duchowny. Mogę to panu załatwić.

Diakon milczał.

– Czy pan dobrze się zna na swojej teologii? – zapytał zoolog.

– Nienadzwyczajnie.

– Hm. Nie mogę dać panu żadnych wskazówek w tej dziedzinie, ponieważ w teologii sam jestem słabo zorientowany. Proszę mi podać spis książek, które są panu potrzebne, prześlę je w zimie z Petersburga. Powinien pan także przeczytać pamiętniki podróżujących duchownych; wśród nich nieraz trafiają się dobrzy etnologowie i znawcy języków wschodnich. Kiedy pan pozna ich metody, będzie panu łatwiej zabrać się do pracy. Ale zanim nadejdą książki, nie należy tracić czasu, niech pan przyjdzie do mnie, zapoznamy się z kompasem, zajmiemy się meteorologią. To wszystko jest niezbędne.

– Niby tak... – mruknął diakon i zaśmiał się. – Robię starania o posadę w centralnej Rosji i mój wujaszek protojeriej przyrzekł mi poparcie. Jeżeli pojedę z panem, to będzie wyglądało, że niepotrzebnie robię ludziom subiekcję.

– Nie rozumiem pańskich wahań. Pełniąc nadal obowiązki zwykłego diakona, który ma służbę tylko w niedzielę i święta, w pozostałe dni spoczywa na laurach, pan i za dziesięć lat będzie taki sam jak dzisiaj, najwyżej wyrosną panu wąsy i broda, natomiast po powrocie z ekspedycji pan po upływie tych samych dziesięciu lat będzie zupełnie innym człowiekiem, bo wzbogaconym o świadomość, że coś niecoś zrobił.

Z damskiego powozu doleciały okrzyki przerażenia i zachwytu. Powozy jechały drogą wyrytą w zupełnie prostopadłym skalistym brzegu i całemu towarzystwu zdawało się, że pędzi wzdłuż półki przymocowanej do wysokiej ściany i że powozy zaraz spadną do przepaści.

Z prawej strony rozpościerało się morze, z lewej sterczała nierówna brunatna ściana pełna czarnych plam, czerwonych żył i pnących się korzenisk, a z góry spoglądały jakby ze strachem i ciekawością pochylone kudłate choiny. Po chwili znowu pisk i śmiech; trzeba było przejechać pod olbrzymim zwisającym kamieniem.

– Nie rozumiem, po kiego diabła jadę z wami – powiedział Łajewski. – Jakie to głupie i trywialne! Powinienem wynieść się na północ, uciekać, ratować się, a ja nie wiadomo po co jadę na tę idiotyczną wycieczkę.

– Spójrz lepiej, jaka panorama! – powiedział Samojlenko, kiedy konie skrzyły na lewo i odsłonił się widok na dolinę Żółtej Rzeczki, potem błysnęła rzeczka, żółta, mętna, wariacka...

– Nic pięknego w tym nie widzę, Sasza – odparł Łajewski. – Wieczne zachwyty nad przyrodą demaskują ubóstwo wyobraźni. W porównaniu z tym, co mi może dać moja wyobraźnia, te wszystkie strumyki i skały to po prostu lichota.

Powozy jechały już brzegiem rzeczki. Wysokie, górzyste brzegi stopniowo zbliżały się ku sobie, dolina zwężała się i coraz bardziej przypominała wąwóz; kamienistą górę, koło której jechano, matka przyroda skleciła z olbrzymich głazów, przygniatających jeden drugiego z tak potworną siłą, że patrząc na nie Samojlenko mimo woli stęknął. Pośepną i piękną górę miejscami przecinały wąskie szczeliny i żleby, z których wionęło zapachem wilgoci i tajemniczością; poprzez żleby widać było inne góry – brunatne, różowe, fioletowe, zamglone lub skąpane w jaskrawym świetle. Czasem, gdy mijano żleby, słysząc było, jak gdzieś z wysoka spada woda i pluszcze o kamienie.

– Ach, te przekłete góry! – wzdychał Łajewski. – Jak one mi obrzydły!

W tym miejscu, gdzie Czarna Rzeczka wpadała do Żółtej i czarna, podobna do atramentu woda brudziła żółtą, tocząc z nią walkę, stała opodal drogi karczma Tatarów Kierbałaja z rosyjską flagą na dachu, z szyldem wypisanym kredą: „Przyjemny duchan”; obok był niewielki ogródek okolony płotem, gdzie stały ławki i stoły, a wśród nędznych krzaków kolczastych wznosił się jeden cyprys – piękny i ciemny.

Kierbałaj, mały, zwinny Tatar w granatowej koszuli i białym fartuchu, stał na drodze i trzymając się za brzuch witał niskimi ukłonami nadjeżdżające powozy, a śmiejąc się, wystawiał na wierzch wszystkie swoje białe, lśniące zęby.

– Dzień dobry, Kierbałajku! – zawołał Samojlenko. – Odjedziemy trochę dalej, podasz tam samowar i krzesła. Szybko!

Kierbałaj kiwał ostrzyżoną głową i coś mamrotał, ale tylko ci, co siedzieli w ostatnim powozie, dosłyszeli: „Mamy pstrągi, wasza ekscelencjo”.

– Dawaj, dawaj! – powiedział mu von Koren.

Powozy odjechały o pięćset kroków i zatrzymały się. Samojlenko wypatrzył niewielką polankę, gdzie leżało sporo rozrzuconych tu i ówdzie kamieni wygodnych do siedzenia i obalone przez burzę drzewo z wywróconym włośchatym korzeniskiem, z wyschniętymi żółtymi igłami. Brzegi rzeczki wiązał rzadziutki most z belek, a po drugiej stronie, akurat naprzeciw, wznosiła się na czterech niewysokich palach mała szopa – suszarnia kukurydzy

przypominająca baśniową chatkę na kurzych nóżkach; od jej drzwi prowadziła w dół drabinka.

Pierwsze wrażenie zebranych było takie, że już nigdy się stąd nie wydostaną. Wszędzie, gdziekolwiek spojrzeć, piętrzyły się i nawisały góry, od strony duchanu i ciemnego cyprysu szybko sunął wieczorny cień i dzięki temu wąska, zakrzywiona dolina Czarnej Rzeczki stała się jeszcze węższa, a góry wyższe. Słychać było, jak szemrała woda i bez przerwy terkotały cykady.

– Uroczo! – oznajmiła Bitiugowa wydając serię entuzjastycznych westchnień. – Dzieci, spójrzcie, jak pięknie! Jaka cisza!

– Tak, rzeczywiście pięknie – przytaknął Łajewski, któremu spodobał się widok; gdy spojrział na niebo i na granatowy dymek, wylatujący z komina karczmy, zrobiło mu się jakoś smutno. – Tak, pięknie! – powtórzył.

– Niech pan opisz ten widok, Iwanie Andrieiczu! – rzekła łzawo Maria Konstantinowna.

– Po co? – zapytał Łajewski. – Wrażenie jest piękniejsze nad jakikolwiek opis. Całe bogactwo barw i dźwięków, które każdy człowiek odbiera od przyrody drogą wrażenia, pisarze przekazują w sposób tak gadatliwy i szpetny, że nie poznasz...

– Czyżby? – rzucił zimno von Koren, który upatrzył sobie największy kamień u wody i próbował wdrapać się na niego i usiąść. – Czyżby? – powtórzył patrząc Łajewskiemu prosto w oczy. – A Romeo i Julia? A na przykład ukraińska noc Puszkina? Przyroda powinna przyjść i w pas się pokłonić.

– Może... – zgodził się Łajewski, któremu nie chciało się myśleć i sprzeczać. – Zresztą – dodał po chwili – czym jest w gruncie rzeczy historia Romea i Julii? Piękna, romantyczna, czysta miłość to tylko róże, którymi się usiłuje zasłonić bagno. Romeo to takie samo zwierzę jak wszyscy.

– O czymkolwiek się z panem rozmawia, pan sprowadza wszystko do...

Von Koren spojrział na Katię i nie dokończył zdania.

– Do czego? – zapytał Łajewski.

– Ktoś panu na przykład powie: „Jak piękne jest grono winne!”, a pan na to: „Owszem, ale jakie ono brzydkie, kiedy się je zjada i przetrawia”. Po co to mówić? Nic nowego i... w ogóle jakieś dziwne nastawienie.

Łajewski wiedział, że von Koren go nie lubi, i dlatego bał się go i w jego obecności czuł się tak skrępowany, jakby tu wszystkim było za ciasno, jakby ktoś wciąż czaił się za plecami. Bez słowa więc odszedł na bok, żalując, że w ogóle pojechał.

– Proszę państwa, idziemy po chrust na ognisko! – zarządził Samojlenko.

Wszyscy rozeszli się w różne strony z wyjątkiem Kirilina, Aczmijanowa i Bitiugowa. Kierbałaj przyniósł krzesła, rozłożył na ziemi dywan i podał kilka butelek wina. Prystaw Kirilin – wysoki, okazały mężczyzna, który bez względu na pogodę zawsze chodził w płaszczu włożonym na mundur – z dumnej postawy, statecznego chodu i niskiego, nieco zachrypniętego głosu przypominał prowincjonalnych policmajstrów młodego pokolenia. Wyraz twarzy miał senny i smutny, jakby go dopiero co obudzono wbrew jego woli.

– Coś ty przyniósł, bydlaku? – zapytał Kierbałaja cedząc każde słowo. – Kazałem ci podać kwareli, a ty co przynosisz, tatarska mordo? Co?

– Mamy ze sobą dużo wina, Jegorze Aleksieiczu – zauważył nieśmiało i grzecznie Nikodim Aleksandrycz.

– Słucham? Ależ ja chcę, żeby tu było i moje wino. Uczestniczę w tej wycieczce i uważam, że mam prawo dołożyć się do poczęstunku. U-wa-żam! Daj dziesięć butelek kwareli.

– Po co aż tyle? – zdziwił się Bitiugow, który wiedział, że Kirilin nie ma pieniędzy.

– Dwadzieścia butelek! Trzydzieści! – krzyknął Kirilin.

– Nie szkodzi! – szepnęła Aczmijanowa do Bitiugowa. – Ja zapłacę.

Nadieżda Fiodorowna była usposobiona wesoło i figlarnie. Chciało jej się śmiać, skakać, krzyczeć, drażnić i kokietować wszystkich.

Ubrana w tanią sukienkę z perkaliku w niebieskie oczka, ten sam co rano słomkowy kapelus i czerwone pantofelki, czuła się mała, skromniutka, lekka i powiewna jak motyl. W pewnej chwili wbiegła na chwiejny mostek i pochyliła się nad wodą, aż jej się zakręciło w głowie, potem krzyknawszy pomknęła roześmiana na drugi brzeg ku suszarni w miłym przeświadczeniu, że wszyscy mężczyźni, nie wyłączając Kierbałaja, patrzą na nią z zachwytem. Kiedy w szybko zapadającym zmroku drzewa zaczęły zlewać się z górami, powozy z końmi, a w oknach duchanu zabłysło światło, Nadieżda wspięła się pod górę ścieżką zagubioną między kamieniami i kolczastym gąszczem i usiadła na kamieniu. W dole już paliło się ognisko. Przy ogniu, podwinawszy rękawy, krzątał się diakon, a jego drugi czarny cień zataczał kręgi wokół płomienia; diakon podkładał chrustu i mieszał w kotle łyżką przywiązaną do długiego patyka. Samojlenko z twarzą czerwoną jak miedź miotał się koło ogniska niby we własnej kuchni i krzyczał srogo:

– A gdzie sól, proszę państwa? Nie zabraliście, co? Siedzą jak hrabiowie, a ja mam wszystkich obsługiwać?

Na zwałonym drzewie siedzieli obok siebie Łajewski i Bitiugow patrząc w zamyśleniu na ogień. Maria Konstantinowna, Katia i Kostia wyjmowali z koszów filiżanki i talerze. Von Koren, skrzyżowawszy ręce i oparłszy jedną nogę o kamień, stał zamyślony na brzegu nad samą wodą. Czerwone odbłaski ognia błędziły razem z cieniami po ziemi wokół ciemnych ludzkich postaci, drżały na wysokiej górze, drzewach, moście, suszarni; urwisty, poryty brzeg po przeciwnej stronie cały tonał w świetle, migotał i odbijał się w rzece, a szybko mknąca, wzburzona woda darła na strzępy jego odbicie.

Diakon poszedł po ryby, które Kierbałaj skrobał i mył na brzegu; w pół drogi jednak przystanął i rozejrzał się dookoła.

„Boże, jak pięknie! – pomyślał. – Ludzie, kamienie, ogień, zmierzch, pokraczne drzewo, nic więcej, ale jakie to piękne!”

Na przeciwnym brzegu koło suszarni ukazali się jacyś ludzie. Ponieważ światło wciąż migotało i dym z ogniska leciał w tamtą stronę, tych ludzi nie widziało się w całości, tylko widać było to włochatą czapę i siwą brodę, to granatową koszulę, to łachmany od ramienia do kolan i sztylet w poprzek brzucha, to młodą, smagłą twarz z czarnymi brwiami, tak gęstymi i wyraźnymi, jakby je narysowano węglem. Pięciu mężczyzn spośród tej gromadki usiadło kołem na ziemi, a pozostałych pięciu udało się do suszarni. Jeden z nich stanął w drzwiach, obrócony plecami do ogniska, i założywszy do tyłu ręce zaczął opowiadać widocznie coś bardzo ciekawego, bo gdy Samojlenko podłożył drzewa, a ognisko rozjarzyło się, bryznęło iskrami i jasno oświetliło suszarnię, widać było, jak z otwartych drzwi wyzierają dwie spokojne, pełne uwagi twarze i jak gromadka siedząca kołem ogląda się i przysłuchuje opowiadaniu. Po pewnej chwili siedzący na ziemi ludzie zanucili jakąś przeciągłą, melodyjną pieśń, podobną do cerkiewnych śpiewów wielkopostnych. Słuchając ich, diakon zaczął marzyć, co z nim będzie za lat dziesięć, kiedy wróci z ekspedycji: oto jest młodym zakonnikiem misjonarzem, głośnym autorem z wspaniałą przeszłością; oto zostaje wyświęcony na archimandrytę, potem na archirieja; oto odprawia nabożeństwo w soborze katedralnym; oto wychodzi przed ołtarz w złotej mitrze, z ikoną na piersi i błogosławiąc tłum wiernych dwuramiennym i trójramiennym świecznikiem woła: „Wejrzyj z niebios, Boże, i obacz, i nawiedz winnicę ową albowiem zasadziła ją ręka Twoja!” A dzieci śpiewają anielskimi głosami: „Święty Boże...”

– Diakonie, co z tą rybą? – zabrzmiał głos Samojlenki.

Wróciwszy do ogniska diakon ujrzał w wyobraźni, jak w upalny lipcowy dzień zakurzonym gościńcem idzie procesja; na przedzie chłopci niosą chorągwie, a baby i dziewczuchy ikony, za nimi chłopcy z chóru i diaczków z obowiązującym policzkiem, ze słomą we włosach, dalej kolejno on, diakon, za nim pop w mycce z krzyżem w ręku, a z tyłu gromada chłopów, bab,

dzieciaków; wśród tej gromady popadła i diakonica w chusteczkach. Chór śpiewa, dzieci beczą, przepiórki kwilą, skowronek dzwoni trylami... Oto przystanęli, pokropili stado święconą wodą... Poszli dalej i klęcząc pomodlili się o deszcz. Potem jakaś przekąska, rozmowy...

„I to też dobre...” – pomyślał diakon.

VII

Kirilin i Aczmijanow wspinali się ścieżką na górę. Aczmijanow pozostał w tyle i przystanął, a Kirilin podszedł do Nadieżdy.

– Dobry wieczór! – przywitał ją salutując.

– Dobry wieczór.

– Taak! – mruknął, patrząc w zamyśleniu na niebo.

– Co: taak? – zapytała po chwili milczenia. Nadieżda zauważywszy, że Aczmijanow obserwuje ich oboje.

– A więc – rzekł powoli oficer – nasza miłość zwiędła, nie zaznawszy, że tak powiem, rozkwitu. Jak to mam rozumieć? Czy to z pani strony swego rodzaju kokieteria, czy też uważa mnie pani za szaloputa, z którym można postępować, jak się chce?

– To była pomyłka! Proszę mi dać spokój! – powiedziała ostro Nadieżda i w ten piękny, cudowny wieczór popatrzyła na Kirilina przerażonym wzrokiem, ze zdumieniem zapytując siebie samej: czy naprawdę istniała taka chwila, kiedy ten człowiek podobał jej się, a nawet był bliski?

– Taak! – powtórzył Kirilin; postąpił chwilę w milczeniu, namyślił się i powiedział: – Cóż! Poczekamy, aż pani będzie w lepszym humorze, a tymczasem ośmielam się panią zapewnić, że jestem człowiekiem uczciwym i nikomu nie pozwolę wątpić w to. Igrać mną nie można! Adieu!

Odsalutował i poszedł na bok, przedzierając się przez krzaki. Po chwili nieśmiało zbliżył się Aczmijanow.

– Piękny dzisiaj wieczór – powiedział z lekkim akcentem ormiańskim.

Aczmijanow był dość przystojny, ubierał się modnie, zachowywał się z prostotą jak dobrze ułożony młody człowiek, ale Nadieżda nie lubiła go za to, że była winna jego ojcu trzysta rubli; irytowało ją również, że musiał do niej podejść akurat w tym momencie, kiedy miała tak czyste serce...

– Wycieczka na ogół udała się – powiedział Aczmijanow po chwili milczenia.

– Owszem – przytaknęła Nadieżda i, jakby właśnie przypomniał jej się ten dług, rzuciła niedbale: – Niech pan powie u siebie w sklepie, że Iwan Andrieicz wpadnie któregoś dnia i zapłaci te trzysta... czy, nie pamiętam, ile tam.

– Chętnie dodałbym jeszcze trzysta, żeby tylko pani nie wspominała o tym co dzień. Po co ta proza?

Nadieżda roześmiała się; przyszła jej do głowy zabawna myśl, że gdyby tylko chciała i gdyby była niezbyt moralna, mogłaby w każdej chwili pozbyć się długu. Żeby tak na przykład zbałamucić tego przystojnego młodego durnia? Jakie to byłoby w gruncie rzeczy śmieszne, dzikie, bezsensowne! I nagle zapragnęła rozkochać go w sobie, obrabować, porzucić, a potem zobaczyć, co z tego wyniknie.

– Pozwolę sobie udzielić pani pewnej rady – powiedział Aczmijanow nieśmiało. – Proszę, niech pani wystrzeże się Kirilina. Wszędzie opowiada o pani okropne rzeczy.

– Nie jestem ciekawa, co o mnie mówi byle idiota – odparła zimno Nadieżda, ale ogarnął ją niepokój, a śmieszna myśl o pobawieniu się młodzieńcem, ładnym Aczmijanowem nagle straciła swój powab.

– Musimy iść na dół – powiedziała Nadieżda. – Wołają.

Na dole rybna zupa już była gotowa. Nalewano ją na talerze i jedzono z tym namaszczeniem, z jakim to się robi tylko na wycieczkach; wszyscy twierdzili, że zupa jest wyborna i że w domu nigdy nie ma czegoś równie smacznego. Jak zwykle bywa na wycieczkach, wszyscy gubili się w masie serwetek, zawiniątek, niepotrzebnych ruszających się od wiatru zatłuszczonych papierów, chwyтали cudze szklanki i cudze kromki chleba, wylewali wino na dywan i na własne kolana, rozsypywali sól, a wokół było mroczno i ognisko już nie paliło się tak jasnym płomieniem, bo nikomu nie chciało się wstać i podłożyć chrustu. Wszyscy pili wino, nawet Kosti i Kati dano po pół szklanki. Nadieżda wychyliła jedną szklankę, potem drugą, upiła się i zapomniała o Kirilinie.

– Rozkoszna wycieczka, czarujący wieczór – mówił Łajewski rozweselony winem – ale wolę zimę niż to wszystko. „Srebrzystym szronem opylony bobrowy jego kołnierz lśni”.

– Gusty są różne – zauważył von Koren.

Łajewski poczuł się nieswojo: w plecy buchał mu żar z ogniska, w twarz i pierś – nienawiść von Korena; ta nienawiść uczciwego, mądrego człowieka, kryjąca chyba w sobie jakiś zasadniczy powód, poniżała go, ścinała z nóg, nie czując się więc na siłach stawić jej czoła, powiedział przymilnym głosem.

– Namiętnie kocham naturę i żałuję, że nie jestem przyrodnikiem. Zazdroszczę panu.

– A ja nie żałuję i nie zazdroszczę – oświadczyła Nadieżda. – Nie rozumiem, jak można zajmować się serio owadami i robaczkami, kiedy lud cierpi.

Łajewski podzielał jej zdanie. Absolutnie nie był zorientowany w naukach przyrodniczych i dlatego nigdy nie mógł się pogodzić z autorytatywnym tonem i uroczystą powagą ludzi, którzy badają wąsiki mrówek i łapki karaluchów, zawsze go irytowało, że ci ludzie na podstawie wąsików, łapek i jakiejś protoplazmy (nie wiadomo czemu wyobrażał ją sobie w postaci ostrygi) rozstrzygają problemy, obejmujące pochodzenie i życie człowieka. Ale w słowach Nadieżdy wyczuł jakiś fałsz, więc tylko po to, żeby jej zaprzeczyć, powiedział:

– Tu nie chodzi o robaczki, lecz o wnioski.

VIII

Dość późno, bo już po dziesiątej, zaczęto wsiadać do powozów, żeby wyruszyć do domu. Wszyscy wsiedli, brakowało tylko Nadieżdy i Aczmijanowa, którzy ścigali się po drugiej stronie rzeki z głośnymi wybuchami śmiechu.

– Proszę państwa, już czas! – zawołał do nich Samojlenko.

– Nie trzeba było dawać paniom wina – rzekł po cichu von Koren.

Łajewski, znużony wycieczką, nienawiścią von Korena i własnymi myślami, wyszedł ku Nadieżdzie, a kiedy ona – wesółą, uradowaną, we własnym mniemaniu lekka jak piórko – schwyciła go dysząc i śmiejąc się za obie ręce i przytuliła głowę do jego piersi, cofnął się o krok i powiedział ostro:

– Zachowujesz się jak... kokota.

To brzmiało tak brutalnie, że nawet zrobiło mu się jej żal. W jego gniewnej, zmęczonej twarzy wyraźnie wyczytała nienawiść, litość, irytację i natychmiast upadła na duchu. Zrozumiała, że przesadziła, zachowując się zbyt swobodnie, i zasmucona, z niemiłym uczuciem, że jest ciężka, gruba, wulgarna i pijana, usiadła w pierwszym z brzegu pustym powozie razem z Aczmijanowem. Łajewski usiadł z Kirilinem, zoolog z Samojlenką, diakon z paniami i orszak ruszył.

– A mówiłem, że to makaki... – zawołał von Koren, okrywając się peleryną i mrużąc oczy. – Słyszałeś: ona nie mogłaby zajmować się owadami i robakami, bo lud cierpi. Tak sądzą o ludziach naszego pokroju wszystkie makaki. To niewolnicze, obłudne plemię, od dziesięciu pokoleń straszone batem i pięścią, drży, czuli się i przypochlebia tylko w obliczu przemocy,

ale wpuść makakę do jakiegokolwiek wolnej dziedziny, gdzie nikt jej nie trzyma za kark, a zaraz rozeprze się i da się poznać. Spójrz, jak czelna jest makaka na wystawach obrazów, w muzeach, w teatrze albo wtedy, gdy rozprawia o nauce: nadyma się, staje dęba, urąga, krytykuje... Zawsze krytykuje – to cecha niewolnictwa. Zauważ: częściej odsadza się od czci i wiary ludzi o wolnych zawodach aniżeli łotrów – to dlatego, że społeczeństwo w trzech czwartych składa się z niewolników, z takich właśnie makak. Nie zdarza się, żeby niewolnik podał ci rękę i szczerze podziękował za to, że pracujesz.

– Nie wiem, o co ci chodzi – odparł Samojlenko ziewając. – Bidulka w prostocie ducha chciała porozmawiać z tobą o czymś mądrym, a ty zaraz wyciągasz wnioski. Gniewasz się za coś na niego, ale co ci ona zawiniła! Przecież to zacna kobieta.

– E, daj spokój. Zwyczajna utrzymanka, rozpustna i wulgarna. Słuchaj, Aleksandrze Dawidycz, jeżeli spotkasz prostą babę, która nie żyje z mężem, nic nie robi, tylko wciąż cha-cha-cha, to jej powiesz: weź się do roboty. Dlaczego więc teraz boisz się powiedzieć prawdę? Czy dlatego, że Nadieżda Fiodorowna jest utrzymanką urzędnika, a nie zwykłego marynarza?

– A co mam z nią zrobić? – rozzłościł się Samojlenko. – Zbić czy co?

– Nie pobłażać rozpuście. My wszyscy wyklinamy rozpustę tylko za oczy, a to przypomina kiwanie palcem w bucie. Jestem zoologiem czy socjologiem, bo to właściwie wszystko jedno, ty – lekarzem; społeczeństwo nam ufa; powinniśmy zwrócić jego uwagę na ogromne szkody, jakimi zagrażają i jemu, i przyszłym pokoleniom tego rodzaju damulki jak Nadieżda Iwanowna.

– Fiodorowna – poprawił go Samojlenko. – A co ma zrobić społeczeństwo?

– Społeczeństwo? To jego sprawa. Moim zdaniem, najprostszy i najpewniejszy sposób to przymus. *Manu militari* należy ją wyprawić do męża, a jeżeli mąż jej nie przyjmie, to na katorgę lub do jakiegokolwiek zakładu poprawnego.

– Och! – westchnął Samojlenko; chwilę milczał, potem zapytał cicho: – Mówiłeś któregoś dnia, że takich ludzi jak Łajewski należałoby zgładzić... Powiedz mi, gdyby... dajmy na to, państwo czy społeczeństwo powierzyło ci tę funkcję, czy... mógłbyś?

– Aniby mi ręka drgnęła.

IX

Po powrocie do domu Łajewski i Nadieżda znaleźli się w swoich ciemnych, dusznych, nudnych pokojach. Oboje milczeli.

Łajewski zapalił świecę, a Nadieżda nie zdejmując płaszcza i kapelusza, usiadła i spojrzała na niego smutnym, skruszonym wzrokiem.

Zrozumiał, że ona czeka na wyjaśnienie; ale wyjaśniać cokolwiek byłoby rzeczą nudną, bezcelową i męczącą, a najbardziej ciążyło mu na sercu, że nie wytrzymał i odezwał się do niej po grubiańsku. Dotknąwszy kieszeni natrafił na list, który wciąż zamierzał jej przeczytać, pomyślał więc, że jeżeli pokaże go teraz, to nada jej myślom inny kierunek.

„Już czas wyjaśnić nasze stosunki – postanowił. – Pokażę jej; co ma być, to będzie”.

Wyjął list i podał go Nadieżdzie.

– Przeczytaj. To dotyczy ciebie.

Po tych słowach poszedł do swojego gabinetu i położył się na kanapie bez poduszki, po ciemku, nie zapalając światła. Nadieżda przeczytała list i wydało jej się, że sufit się zniżył, a ściany nasunęły się wprost na nią. Nagle zrobiło się ciasno, ciemno, powiało grozą. Szybko przeżegnała się trzy razy i wyrzekła:

– Wieczne odpoczywanie... wieczne odpoczywanie...

I zaczęła płakać:

– Wania! – zawołała po chwili. – Iwanie Andrieiczu!

Żadnej odpowiedzi. Sądząc, że Łajewski wszedł do pokoju i stoi za jej krzesłem, szlochała jak dziecko i mówiła:

– Czemuś mi od razu nie powiedział, że on nie żyje? Nie pojechałabym na wycieczkę, nie śmiałabym się tak okropnie... Mężczyźni prawili mi trywialne komplementy. Jaki to grzech, jaki grzech! Ratuj mnie, Wania, ratuj... Straciłam rozum... Ginę...

Łajewski słyszał jej szloch. Było mu straszliwie duszno, a serce waliło jak młot. Pełen udreki zerwał się, stanął na środku pokoju, odszukał w ciemnościach krzesło przy stole i usiadł.

„Jak w więzieniu... – myślał. – Muszę wyjść... bo nie wytrzymam...”

Na grę w karty było już za późno, restauracji w mieście nie było. Znowu położył się i zasłonił uszy rękoma, żeby nie słyszeć łkań, gdy nagle przypomniało mu się, że może pójść do Samojslenki. Nie chcąc przechodzić koło Nadziejszy, wy dostał się oknem do ogródka, przelał przez palisadę i ruszył ulicą. Było ciemno. Do portu przybił jakiś statek, sądząc ze świateł – duży pasażerski... Brzęknął łańcuch kotwiczny. Od brzegu do statku szybko sunęło czerwone światelko: to płynęła łódź z komory celnej.

„A pasażerowie śpią sobie w kajutach...” – pomyślał Łajewski i pozazdrościł ludziom ich spokoju.

W domu Samojslenki okna były otwarte. Łajewski zajrzał do jednego z nich, potem do drugiego: w pokojach było ciemno i cicho.

– Aleksandrze Dawidyczu, czy ty już śpisz? – zawołał. – Aleksandrze Dawidyczu!

Rozległo się kaszlanie i trwożny okrzyk:

– Kto tam? Kiego diabła?

– To ja, Aleksandrze Dawidyczu. Przepraszam.

Za małą chwilę drzwi otworzyły się; błysnęło łagodne światło lampki oliwnej i ukazał się olbrzymi Samojslenko cały w bieli, w szlafmycy na głowie.

– Czego chcesz? – zapytał dysząc ze snu i drapiąc się. – Czekaj, zaraz otworzę.

– Nie fatyguj się, ja przez okno...

Łajewski wdrapał się przez okno, podszedł do Samojslenki i schwycił go za rękę.

– Aleksandrze Dawidyczu – jęknął drżącym głosem – ratuj mnie! Błagam cię, zaklinam, zrozum mnie! Moja sytuacja jest straszna. jeżeli potrwa jeszcze choć parę dni, zaduszę sam siebie jak... jak psa!

– Czekaj... O co chodzi właściwie?

– Zapal świecę.

– Och, och... – westchnął. Samojslenko zapalając świecę. – Boże, Boże... Już jest po pierwszej, bracie.

– Daruj, ale nie mogłem usiedzieć w domu – powiedział Łajewski czując znaczną ulgę dzięki światłu i obecności Samojslenki. – Aleksandrze Dawidyczu, jesteś moim najlepszym i jedynym przyjacielem... W tobie cała nadzieja... Chcesz czy nie chcesz, ratuj mnie, na miłość boską. za wszelką cenę muszę stąd wyjechać. Pożycz mi pieniądze!

– Och, Boże, Boże! ... – jęknął Samojslenko drapiąc się. – Już zasypiałem i słyszę: syrena, statek przyszedł, a teraz ty... Dużo ci trzeba?

– Przynajmniej trzysta rubli. Muszę jej zostawić sto, a dwieście dla mnie na drogę... Jestem ci już winien blisko czterysta, ale odeślę... wszystko odeślę...

Samojslenko zagarnął jedną ręką swoje bokobrody, rozstawił szeroko nogi i zamyślił się.

– Tak... – bąknął w zadumie. – Trzysta... Tak... Nie mam tyle. Będę musiał od kogoś pożyczyć.

– Więc, na miłość boską, pożycz! – powiedział Łajewski, widząc z twarzy Samojslenki, że ten chciałby mu dać pieniądze i z pewnością da. – Pożycz od kogoś, a ja oczywiście zwrócę. Odeślę ci z Petersburga zaraz po przyjeździe. O to bądź spokojny. Wiesz co, Sasza – dodał z ożywieniem – może napijemy się wina?

– Cóż... Możemy się napić.

Przeszli do jadalni.

– A jak Nadieżda Fiodorowna? – zapytał Samojlenko, stawiając na stole trzy butelki i talerz z brzoskwiniami. – Czy ona ma zamiar zostać?

– Ja to załatwię, ja wszystko załatwię... – powiedział Łajewski czując nagły przypływ radości. – Wyślę jej potem pieniądze i ona przyjedzie do mnie... Wtedy wyjaśnimy nasze stosunki. Twoje zdrowie, druhu.

– Czeka! – zawołał Samojlenko. – Najprzód wypij to... Z mojej winnicy. Ta butelka z winnicy Nawaridze, a tamta Achatułowa... Spróbuj wszystkie trzy gatunki i powiedz szczerze... Moje jakby przykwaśne. Co? Nie uważasz?

– Tak... Aleś mnie pocieszył, Aleksandrze Dawidyczu. Dzięki... jakbym ożył:

– Przykwaśne?

– Licho wie, nie zauważyłem... Jesteś wspaniały, cudowny człowiek!

Patrząc na jego bladą, podnieconą dobrą twarz, Samojlenko przypomniał sobie słowa von Korena, że należałoby niszczyć takich ludzi, i wydało mu się, że Łajewski jest słabym, bezbronnym dzieckiem, które każdy może skrzywdzić i unicestwić.

– Skoro wyjeżdżasz, to pogódź się z matką – powiedział. – Bo nieładnie.

– Tak, tak, oczywiście.

Przez chwilę obaj milczeli. Kiedy skończyli pierwszą butelkę, Samojlenko powiedział:

– Mógłbyś się też pogodzić i z von Korenem. Jesteście obaj zacni, mądry ludzie, a patrzycie na siebie jak wilki.

– Owszem, to zacny, mądry człowiek – przytaknął Łajewski, który teraz chciał wszystkich chwalić i usprawiedliwiać. – To niezwykle człowiek, ale przyjaźń między nami byłaby niemożliwa. Nie! Mamy zbyt odmienne natury. Ja mam naturę słabą, apatyczną, uległą; być może w sprzyjającej chwili wyciągnąłbym do niego rękę na zgodę, ale on odwróciłby się ode mnie... z pogardą.

Łajewski wypił łyk wina, przeszedł się z kąt w kąt i znów zaczął mówić stojąc na środku pokoju:

– Ja dobrze rozumiem von Korena. To natura twarda, silna, despotyczna. Zauważyłeś, że on ciągle mówi o ekspedycji i to nie są czcze słowa. Potrzebna mu jest pustynia, księżycowa noc; dookoła w namiotach i pod otwartym niebem śpią głodni, chorzy, zmordowani ciężką drogą kozacy, przewodnicy, tragarze, lekarz, duchowny, tylko on jeden nie śpi i jak Stanley siedzi na składanym krzeselku, a czuje się jak król pustyni, jak władca tych ludzi. Ciągłe idzie, idzie naprzód, jego ludzie jęczą i mrą jeden po drugim, ale on idzie, idzie, aż w końcu ginie sam, a jednak wciąż jest despotą i władcą pustyni, bo przechodzące karawany widzą w promieniu trzydziestu mil krzyż na jego grobie, królujący nad pustynią. Żałuję, że ten człowiek nie służy w wojsku. Byłby z niego pierwszorzędnym, genialnym dowódcą. Potrafiłby topić w rzece swoją konnicę i budować mosty z trupów, a na wojnie taka odwaga jest cenniejsza niż wszelkie fortyfikacje czy taktyka. O, ja go dobrze rozumiem. Powiedz, po co on tu sterczy? Czego szuka?

– Bada faunę morską.

– Nie. Nie, bracie! – westchnął Łajewski. – Opowiadał mi kiedyś na statku jeden uczonec, że Morze Czarne jest ubogie w faunę, bo na głębini wskutek nadmiaru siarkowodoru życie organiczne nie istnieje. Wszyscy poważni zoologowie pracują na stacjach biologicznych w Neapolu czy Villefranche. Ale von Koren jest uparty i samodzielny: pracuje tutaj, nad Morzem Czarnym, bo nikt inny tego nie robi; zerwał z uniwersytetem, nie chce znać uczonych ni kolegów, bo jest przede wszystkim despotą, a dopiero później zoologiem. I zobaczysz, że z niego będą ludzie. Już teraz marzy o jednym: że po powrocie z ekspedycji wykurzy z naszych uniwersytetów zarówno intrygę, jak i wszelką przeciętność, a uczonych weźmie w karby. Despotyzm w nauce jest równie potężny jak na wojnie. Von Koren spędza już drugie lato w tym

śmierdzącym miasteczku, bo woli być pierwszą osobą na wsi niż drugą w mieście. Tutaj może uchodzić za króla i orła; trzyma miejscowych obywateli krótko i przytłacza ich swoim autorytetem. Wziął wszystkich w ryzy, wtrąca się do cudzych spraw, wszystko go obchodzi i wszyscy się go boją. Ja jeden wymykam mu się spod łapy, on to czuje i nienawidzi mnie. Czy ci nie mówił, że mnie należy zabić albo skazać na ciężkie roboty?

– Owszem – zaśmiał się Samojlenko.

Łajewski też zaśmiał się i łknął wina.

– A jego ideały są również despotyczne – powiedział śmiejąc się i przegryzając brzoskwinie. – Zwykli śmiertelnicy, jeżeli już pracują dla dobra ogółu, mają na względzie swoich bliźnich: ciebie, mnie, słowem człowieka. Dla von Korena ludzie to pędraki, to zera zbyt nędzne, aby miały stanowić cel jego życia. On przecież pracuje, pojedzie na ekspedycję i skręci tam sobie kark nie w imię miłości bliźniego, lecz dla takich abstrakcji, jak ludzkość, przysze pokolenia, idealna rasa ludzi. Zaprzęta sobie głowę poprawieniem rasy ludzkiej i pod tym względem my wszyscy jesteśmy dla niego tylko niewolnikami, mięsem armatnim, pociagowymi końmi; jednych skazałby na śmierć czy katorgę, innych omotałby żelazną dyscypliną, kazałby jak Arakczejew wstawać i kłaść się na komendę, wyznaczyłby eunuchów, żeby pilnowali czystości obyczajów, kazałby strzelać do każdego, kto przekroczy ramy ciasnej, konserwatywnej moralności, a wszystko w imię poprawienia rasy ludzkiej... A co to takiego – rasa ludzka? Iluzja, fatamorgana... Despoci zawsze hołowali iluzjom. Ja, bracie, dobrze go rozumiem. Owszem, cenię go i nie neguję jego roli; ten świat opiera się na takich jak on, bo gdyby świat pozostawiono tylko nam, to my pomimo całej naszej dobroci i najlepszych zamiarów urządzilibyśmy go tak samo, jak muchy ten obraz. Tak.

Łajewski usiadł koło Samojlenki i powiedział ze szczerym uniesieniem.

– Jestem pusty, nędzny, upadły człowiek. Za powietrze, którym oddycham, za to wino, miłość, słowem za życie płaciłem dotychczas kłamstwem, próżniactwem i małodusznością. Oszukiwałem ludzi i samego siebie, cierpiałem przez to, a moje cierpienie było tanie i płaskie. Przed nienawiścią von Korena lekliwie zginam grzbiet, bo chwilami sam siebie nienawidzę i gardzę sobą.

Łajewski wzburzony znów przeszedł się z kąta w kąt i zawołał:

– Cieszy mnie, że dobrze widzę moje wady, że je znam. to mi pomoże zmartwychwstać, stać się innym człowiekiem. Drogi, gdybyś ty wiedział, jak namiętnie, z jakim utęsknieniem pragnę odrodzić się! I przysięgam ci, że będę człowiekiem! Będę! Nie wiem, czy to po winie, czy tak jest naprawdę, ale wydaje mi się, że już od dawna nie przeżywałem równie czystych, jasnych chwil, jak teraz z tobą.

– Czas spać, bracie... – ziewnął Samojlenko.

– Tak, tak... Wybacz... Ja zaraz.

Łajewski zaczął kręcić się koło sprzętów i okien w poszukiwaniu czapki.

– Dziękuję ci... – mamrotał wzdychając. – Dziękuję... Serdeczność i dobre słowo są ważniejsze od jałmużny. Tyś mnie wskrzesił.

Odszukał swoją czapkę, przystanął i spojrzał na Samojlenkę przepaszającym wzrokiem.

– Aleksandrze Dawidycz! – zawołał błagalnie.

– Co takiego?

– Kochany, pozwól mi przenocować u ciebie!

– Proszę bardzo... czemu nie?

Łajewski położył się na kanapie i długo jeszcze rozmawiał z doktorem.

X

W kilka dni po wycieczce do Nadzieży niespodziewanie przyszła Maria Konstantinowa i nie przywitawszy się, nie zdjawszy kapelusza, schwyciła ją za obie ręce i tuląc je do piersi powiedziała z ogromnym wzburzeniem:

– Droga pani, jestem wzburzona, oszołomiona. Ten miły, sympatyczny doktor powiedział mojemu Nikodimowi Aleksandryczowi, że mąż pani nie żyje. Najdroższa... Czy to prawda?

– Tak, to prawda, on nie żyje – odparła Nadieżda.

– To straszne, straszne, najdroższa. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Mąż pani z pewnością był wspaniałym, cudownym człowiekiem, a tacy są potrzebniejsi w niebie niż na ziemi.

W twarzy Bitiugowej dygotał każdy rys, każdy najdrobniejszy punkcik, jakby pod skórą przesuwały się cieniutkie igielki; uśmiechnęła się z sacharynową słodyczą i powiedział entuzjastycznie, z trudem łapiąc oddech:

– A więc pani jest wolna, moja najdroższa. Teraz pani może wysoko trzymać głowę i śmiało patrzeć ludziom w oczy. Bóg i ludzie pobłogosławią wasz związek z Iwanem Andrieiczem. To uroczel! Drzę z radości, brak mi słów. Najdroższa, ja będę swatką... My z Nikodimem Aleksandryczem tak lubimy was oboje, niech więc pani pozwoli, że to my pobłogosławimy wasz legalny, czysty związek. Kiedy, kiedy się pobierzecie?

– Nawet o tym nie myślałam – odparła Nadieżda uwalniając ręce.

– To niemożliwe, droga pani. Na pewno pani myślała.

– Słowo daję, że nie myślałam – zaśmiała się Nadieżda. – Na co nam ślub? Nie widzę żadnej potrzeby. Będziemy żyli tak jak dotąd.

– Co pani mówi! – przeraziła się Maria Konstantinowna. – Na litość boską, co pani mówi!

– Przez to, że się pobierzemy, nic nie zmieni się na lepsze. Przeciwnie, raczej się pogorszy. Stracimy naszą wolność.

– Ależ, kochanie! Najmilsza, cóż to znowu! – zawołała Bitiugowa cofając się o krok i zalamując ręce. – To ekstrawagancje! Czas się opamiętać! Utemperować się!

– Co to znaczy: utemperować się? Ja właściwie jeszcze nie zaznałam prawdziwego życia, a pani – utemperować się!

Nadieżda uświadomiła sobie nagle, że istotnie jeszcze nie zaznała życia. Skończyła pensję, wyszła za mąż bez miłości, potem uciekła z Łajewskim i mieszkała z nim cały czas na tym nudnym, pustynnym wybrzeżu w oczekiwaniu jakiejś zmiany na lepsze. Czy to jest życie?

„A jednak należałoby wziąć ślub...” – pomyślała nagle, ale zaraz przypomniała sobie o Kirilinie i Aczmijanowie, spłonęła rumieńcem i rzekła:

– Nie, to niemożliwe. Gdyby nawet Iwan Andrieicz błagał mnie na klęczkach, nie zgodziłabym się na to.

Maria Konstantinowna chwilę siedziała w milczeniu na kanapie smutna, poważna i patrzyła przed siebie w jeden punkt, potem wstała i rzekła oziębło:

– Do widzenia, droga pani. Przepraszam, że przeszkodziłam. Choć to niełatwa dla mnie sprawa, ale muszę pani oznajmić, że od dziś wszystko między nami skończone i że mimo mojego głębokiego szacunku dla Iwana Andrieicza drzwi naszego domu są dla państwa zamknięte.

Powiedziała to tak uroczyście, że sama poczuła się zgnębiona własnym uroczystym tonem; twarz jej znów drgnęła i przybrała sacharynowosłodki wyraz; potem Bitiugowa wyciągnęła obie ręce do przerażonej, zmienionej Nadzieży i wyrzekła błagalnie:

– Moja droga, proszę mi pozwolić, że choć przez chwilę zachowam się wobec pani jak matka czy starsza siostra. Będę mówiła szczerze jak matka.

Nadieżda poczuła w sercu taką tkliwość, radość i żal nad sobą, jakby istotnie matka jej ożyła i stanęła przed nią. Impulsywnie uściśnęła Marię Konstantinownę i przytuliła twarz do

jej ramienia. Obydwie rozplakały się. Potem usiadły na kanapie i przez kilka minut szlochały nie patrząc na siebie i nie będąc w stanie wymówić słowa.

– Moje drogie dziecko – zaczęła w końcu Bitiugowa – nie chcę pani oszczędzać, powiem całą prawdę.

– Proszę, proszę!

– Trzeba mi zaufać, najmilsza. Niech pani sobie przypomni: tylko ja jedna spośród całego miejscowego towarzystwa przyjmowałam panią u siebie. Pani osoba przeraziła mnie od pierwszego dnia, ale nie byłam w stanie traktować jej tak lekceważąco jak inni. Martwiłam się o miłego, dobrego Iwana Andrieicza jak o własnego syna. Młody mężczyzna w obcych stronach, niedoświadczony, słaby, bez matki – ach, cierpiałam męki... Mój mąż był przeciwny tej znajomości, ale namówiłam go... przekonałam... Zaczęliśmy zapraszać do siebie Iwana Andrieicza, a razem z nim panią oczywiście, bo inaczej by się obraził. Ja przecież mam córkę, syna... Pani rozumie, nieokrzepty, dziecięcy umysł, czyste serce... a jeśli kto zgorszy jednego z tych maluczkich... Przyjmowałam panią w swoim domu, ale drżałam o dzieci. O, gdy pani będzie matką, zrozumie pani mój strach. A wszyscy dziwili się, że przyjmuję panią u siebie jak – proszę mi wybaczyć – jak uczciwą kobietę, coś tam napomykali... oczywiście jakieś plotki, hipotezy... W głębi duszy i ja też potępiałam panią, ale pani była tak nieszczęśliwa, żalonna, ekstrawagancka, aż bolało mnie serce z litości.

– Ale dlaczego? Dlaczego? – pytała Nadieżda, cała rozdygotana. – Co ja takiego zrobiłam?

– Pani jest wielką grzesznicą. Pani złamała przysięgę złożoną mężowi przed ołtarzem. Pani uwiodła zanego młodzieńca, który może, gdyby nie zetknął się z panią, znalazłby sobie legalną towarzyszkę życia z dobrej rodziny, ze swojej sfery, i był teraz taki jak wszyscy. Pani zmarnowała jego młodość. Nie zaprzeczać, nie zaprzeczać, moja droga. Nie wierzę w to, że winę za nasze grzechy ponosi mężczyzna. Winne są zawsze kobiety. W życiu rodzinnym mężczyźni bywają lekkomyślni, powodują się rozumem, nie sercem, wielu rzeczy nie pojmują, ale kobieta pojmuje wszystko. Wszystko zależy od niej. Dano jej wiele, przeto wiele się od niej żąda. O, moja najmilsza, gdyby kobieta była pod tym względem głupsza czy słabsza od mężczyzny, Bóg nie powierzyłby jej wychowania chłopców i dziewczynek. A ponadto, moja droga, wkroczywszy na drogę grzechu, odrzuciła pani wszelki wstyd; inna kobieta w tej sytuacji schowałaby się przed ludźmi, siedziałaby w domu, w ukryciu, ludzie widzieliby ją tylko w świątyni pańskiej – bladą, płaczącą, całą w czerni, i każdy zawołałby ze szczerym wzruszeniem: „Boże, ten upadły anioł znowu wraca do Ciebie...” Ale pani odrzuciła precz wszelką skromność i żyła otwarcie, ekstrawagancko, jakby pyszniąc się swoim grzechem, bawiła się, śmiała, a ja patrząc na panią drżałam z przerażenia, żeby piorun z nieba nie spalił naszego domu wtedy, gdy pani siedzi u nas. Proszę nic nie mówić, moja droga! – krzyknęła Bitiugowa, widząc, że Nadieżda chce się odezwać. – Niech pani mi zaufa, ja nie oszukam ani ukryję żadnej prawdy przed oczyma pani duszy. Proszę więc mnie wysłuchać, najdroższa... Bóg znaczy piętnem wszelkich grzeszników i pani też ma na sobie to piętno. Proszę sobie przypomnieć: pani stroje zawsze były okropne!

Nadieżda, która miała jak najlepsze mniemanie o swoich strojach, przestała płakać i popatrzyła na Bitiugową ze zdumieniem.

– Tak, okropne! – ciągnęła Maria Konstantinowna. – Pretensjonalność i pstrokacizna pani strojów każdemu daje dużo do myślenia. Wszyscy patrząc na panią tylko podśmiewali się i wzruszali ramionami, a ja cierpiałam męki... I bardzo panią przepraszam, ale pani nie jest schludna. Kiedyśmy się spotykały w budce kąpielowej, przyprawiała mnie pani o dreszcz. Suknie jeszcze jako tako, ale halka, koszula..., moja droga, płonę ze wstydu! Biednemu Iwanowi Andrieiczowi też nikt nawet krawata nie zawiąże jak należy, a po jego bieliźnie i butach każdy widzi, że biedaczek nie ma w domu żadnej opieki. I stale jest głodny ten nieboraczek, bo przecież skoro w domu nikt się nie zatroszczy o samowar czy kawę, to chcą nie chcąc połowę pensji wydaje się w pawilonie. U pani w domu jest strasznie, po prostu strasznie! W

całym mieście nie ma much, a u pani nie można się od nich opędzić, wszystkie talerze i spodki aż czarne. Na oknach i stołach kurz, zdechłe muchy, szklanki... Po co tam szklanki? Moja droga, żeby do tej pory nie posprzątać ze stołu!... A wejść do sypialni – aż wstyd; wszędzie porozrzucana bielizna, na ścianach wiszą te rozmaite kauczuki, stoją jakieś naczynia... Moja droga! Mąż o niczym nie powinien wiedzieć, żona musi być przed nim czysta jak anioleczek. Ja co rano budzę się ledwo świt i myję twarz zimną wodą, aby mój Nikodim Aleksandrycz nie zauważył, że jestem zaspana.

– To są drobiazgi! – wyszlochała Nadieżda. – Gdybym chociaż zaznała szczęścia, ale przecież jestem tak nieszczęśliwa!

– Owszem, pani jest bardzo nieszczęśliwa! – westchnęła Bitiugowa ledwie powstrzymując się od płaczu. – A w dalszym życiu oczekują panią same zgryzoty. Samotna starość, choroby, a potem rachunek na sądzie ostatecznym. Okropność, okropność! Teraz sam los wyciąga pomocną rękę, a pani ją nierozumnie odtrąca. Pobrać się, jak najprędzej się pobrać!

– Tak, trzeba by – szepnęła Nadieżda – ale to jest niemożliwe.

– Dlaczego?

– Niemożliwe! Och, gdyby pani wiedziała!

Nadieżda chciała opowiedzieć o Kirilinie i o tym, że wczoraj wieczorem spotkała na przystani młodego, ładnego Aczmijanowa i że strzelił jej do głowy komiczny, wariacki pomysł, jak pozbyć się trzysturublowego długu – to ją bardzo ubawiło, przyszła więc do domu późnym wieczorem, mając uczucie, że jest kobietą sprzedaną i niepowrotnie upadłą. Sama nie wiedziała, jak to się stało. Zapragnęła przysiąc Marii Konstantinownie, że bezwzględnie zwróci ten dług, ale wstyd i łkanie nie dawały jej mówić.

– Wyjadę – powiedziała w końcu. – Niech Iwan Andrieicz zostanie tutaj, a ja wyjadę.

– Dokąd?

– Do Rosji.

– Ale z czego będzie pani żyła? Przecież pani nic nie ma.

– Zajmę się przekładami albo... albo założę małą czytelnię...

– Bez tych fantazji, moja droga. Na czytelnię potrzeba pieniędzy. No, teraz się pożegnaj, a pani uspokoi się, namyśli i jutro przyjdzie do mnie wesolutka. To będzie uroczel! Więc do widzenia, mój aniołeczku. Tylko jeszcze pocałuję.

Maria Konstantinowna ucałowała Nadieżdę w czoło, przeżegnała ją i wyszła. Już zaczęło się zmierzchać. Olga zapaliła światło w kuchni. Wciąż płacząc Nadieżda poszła do sypialni i położyła się na łóżku. Wstrząsały nią silne dreszcze. Leżąc rozebrała się, odsunęła zmiętoszoną suknię ku nogom i zwinęła się w kłębek pod kołdrą. Chciało jej się pić, ale nie było nikogo, kto by jej podał szklankę wody. – Zwróć! – mówiła do siebie i w majaczeniu zdawało jej się, że siedzi przy jakiejś chorej i poznaje w niej samą siebie. – Zwróć. Byłoby głupotą przypuszczać, że ja dla pieniędzy... Wyjadę i z Petersburga wyślę wszystko. Najpierw sto... Potem sto.. i znów sto...

Późno w nocy wrócił Łajewski.

– Najpierw sto... powiedziała do niego Nadieżda – potem sto...

– Powinnaś zażyć chininę – orzekł myśląc równocześnie: „Jutro środa, odchodzi statek, a ja nie jadę. Trzeba będzie zostać aż do soboty”.

Nadieżda ukłękła na posłaniu. – Czy ja coś teraz mówiłam? – zapytała uśmiechając się i mrużąc oczy przed światłem świecy.

– Nie. Jutro trzeba posłać po doktora. Śpij.

Wziął poduszkę i poszedł ku drzwiom. Z chwilą gdy postanowił nieodwołalnie, że wyjedzie i opuści Nadieżdę, ta zaczęła budzić w nim litość i poczucie winy; było mu wobec niej trochę wstyd, jak wobec chorej czy starej klaczy, którą postanowiono zabić. Zatrzymał się w drzwiach i obejrzał.

– Na wycieczce byłem rozdrażniony i potraktowałem cię po grubiańsku. Wybacz mi, na miłość boską!

Po tych słowach wszedł do gabinetu i położył się, ale długo nie mógł zasnąć.

Gdy następnego rana Samojlenko – ze względu na święto rządowe w pełnej gali, w epoletach i przy orderach – sprawdziwszy tętno i obejrzawszy język Nadzieży Fiodorowny wyszedł z sypialni, stojący za drzwiami Łajewski zapytał z trwogą:

– No i jak? Jak?

Na jego twarzy malował się strach, wielki niepokój i nadzieja.

– Nie bój się, nic groźnego – odparł Samojlenko. – Najzwyklejsza malaria.

– Ja nie o tym – zniecierpliwił się Łajewski. – Masz pieniądze?

– Mój kochany, bardzo cię przepraszam – wyszeptał Samojlenko w zmieszaniu, oglądając się na drzwi. – Wybacz, na miłość boską. Nikt nie ma w tej chwili gotówki, uzbierałem po pięć, po dziesięć rubli, wszystkiego sto dziesięć. Dzisiaj jeszcze będę z kimś rozmawiał. Poczekaaj.

– Ale w sobotę ostateczny termin – szepnął Łajewski drżąc z niecierpliwości. – Zaklinam cię na wszystko, w sobotę! Jeżeli nie wyjadę w sobotę, to mi w ogóle nic nie trzeba... nic! Nie rozumiem, jak lekarz może nie mieć pieniędzy!

– O Boże, co ja na to poradzę! – wyszeptał Samojlenko szybko i z takim przejęciem, że aż mu coś pisnęło w gardle. – Wszystko ludzие powyciągali, są mi winni siedem tysięcy, i ja też wszędzie się zadłużyłem. Czy to moja wina?

– Więc zdobędziesz na sobotę? Co?

– Postaram się.

– Błagam cię, kochany. Żebym mógł w piątek rano mieć pieniądze w rękę.

Samojlenko usiadł i zapisał roztwór chininy, *cali bromati*, wyciąg z rabarbaru, *tincturae gentianae, aquae foeniculi* – wszystko w jednej miksturze, dodał różowego syropu, żeby nie było zbyt gorzkie, i wyszedł.

XI

– Tak wyglądasz, jakbyś miał mnie aresztować – powiedział von Koren zobaczywszy Samojlenkę w galowym mundurze.

– Szedłem tędy i myślę sobie: wstąpię, odwiedzę tę zoologię – oświadczył Samojlenko siadając przy dużym stole skleconym własnoręcznie przez zoologa ze zwykłych desek.

– Witaj, święty ojcie! – kiwną do diakona, który siedział pod oknami i coś przepisywał. – Odpocznę chwilkę i pobiegnę do domu, bo trzeba zająć się obiadem. Już czas... Czy ja wam nie przeszkadzam?

– Bynajmniej – odparł zoolog rozkładając na stole gęsto zapisane kartki papieru. – Przepisujemy tu coś niecoś.

– Tak... Och, mój Boże, mój Boże... – westchnął Samojlenko; ostrożnie pociągnął ze stołu okrytą kurzem księgę, w której leżała zasuszona falanga, i powiedział: – Ależ okaz! Uważasz, idzie sobie najspokojniej w świecie jakiś zieloniutki żuczek i raptem spotyka na drodze takiego potwora. Wyobrażam sobie, co za zgroza!

– Sądzę, że tak.

– Czy ta stwora ma jad po to, żeby się bronić?

– Tak, żeby bronić się i żeby atakować.

– No, no... W przyrodzie, moi kochani, wszystko jest potrzebne i celowe – westchnął Samojlenko. – Ale ja jednej rzeczy nie rozumiem. Jesteś człowiekiem o niepospolitym umyśle, więc wytłumacz mi, jeśli łaska. Wiesz, bywają zwierzątka nie większe od szczura, na oko ładniutkie, ale w najwyższym stopniu, uważasz, podłe i nieetyczne. Idzie taki zwierzak, daj-

my na to, po lesie; zobaczył ptaszka, złapał i zjadł. Idzie dalej i widzi w trawie gniazdko z jajkami; to rozłupuje jedno jajko, a resztę wygarnia łapką z gniazda. Potem spotyka żabę i dalejże się nią bawić! Żabę zamęczył, idzie i oblizuje się, a na drodze żuk. On tego żuka łapką... I tak psuje i niszczy wszystko dookoła siebie... wchodzi do cudzych nor, rozkopuje mrowiska, rozcina zębami ślimaki... spotka szczura – zaraz do bójki; zobaczy węża czy myszkę – natychmiast dusi. I tak cały dzień. Powiedz no, do czego potrzebne takie zwierzę? Po co jest stworzone?

– Nie wiem, o jakim zwierzątku mówisz – odparł von Koren – chyba o którymś z owadożernych. No cóż. Złapało ptaszka, bo ten nie uważał; zburzyło gniazdko z jajkami, bo ptak nie miał wprawy, źle budował gniazdo i nie umiał go zamaskować. Żaba musiała mieć jakiś feler w zabarwieniu, bo inaczej ono by jej w ogóle nie dostrzegło, i tak dalej. Twoje zwierzątko zabija tylko istoty słabe, niedołążne, nieostrożne – słowem, obciążone jakimiś wadami, których przyroda nie uważa za potrzebne utrwać w potomstwie. Zostają przy życiu stworzenia najbardziej zręczne, czujne, silne i rozwinięte. W ten sposób twój zwierzątko, sam o tym nie wiedząc, służy wielkiemu celowi udoskonalania.

– Tak, tak... Aha, bracie – niedbale wtrącił Samoilenko – pożycz mi ze sto rubli.

– Dobrze... Wśród owadożernych trafiają się bardzo ciekawe okazy. Na przykład kret. Uważa go się za stworzenie pożyteczne, ponieważ niszczy szkodliwe owady. Opowiadają, że jakiś Niemiec ofiarował cesarzowi Wilhelmowi I futro z krecich skór, a cesarz kazał udzielić mu nagany za to, że zmarnował tyle pożytecznych stworzeń. A tymczasem kret pod względem okrucieństwa w niczym nie ustępuje twojemu zwierzątku i na dobitkę jest bardzo szkodliwy, bo okropnie niszczy łąki.

Von Koren otworzył szkatułkę i wyjął sturublowy banknot.

– Kret ma klatkę piersiową mocną jak nietoperz – ciągnął zamykając szkatułkę – niezwykle rozwinięte mięśnie i kości, świetnie uzbrojoną paszczkę. Gdyby miał wzrost słonia, byłby niepokonanym, niszczącym wszystko zwierzęciem. Ciekawa rzecz: kiedy dwa krety spotykają się pod ziemią, natychmiast, jakby się umówiły, zaczynają udeptywać ziemię; robią to dlatego, żeby mieć odpowiedni teren do boju. Udeptawszy ziemię, staczają ze sobą okrutną walkę i biją się do chwili, aż słabszy padnie. Weźże sto rubli – powiedział von Koren zniżając głos – tylko pod warunkiem, że to nie dla Łajewskiego.

– A gdyby nawet dla Łajewskiego? – zaperzył się Samoilenko. – Co to ciebie obchodzi?

– Dla Łajewskiego nie dam. Wiadomo, że ty chętnie pożyczasz wszystkim. Pożyczylbyś nawet zbójcy Kerimowi, gdyby cię tylko poprosił, ale daruj, ja nie mogę tego popierać.

– Tak, proszę o pożyczkę dla Łajewskiego! – oświadczył Samoilenko wstając i wymachując prawą rękę. – tak! Dla Łajewskiego! I niech żaden czart, żaden diabeł nie waży się mnie pouczać, jak mam rządzić moimi pieniędzmi. Pan mi nie raczy pożyczyć? Co?

Diakon parsknął śmiechem.

– Nie unosz się, tylko się zastanów – powiedział zoolog. – Dobroczynność w stosunku do pana Łajewskiego uważam za rzecz równie niemądrą, jak podlewanie chwastów albo karmienie szarańczy.

– A ja uważam, że powinniśmy pomagać naszym bliźnim! – wrzasnął Samoilenko.

– W takim razie pomóż temu głodnemu Turkowi, co leży pod płotem. To robotnik, czyli człowiek potrzebniejszy i bardziej pożyteczny niż twój Łajewski. Daj jemu te sto rubli. Albo ofiaruj mi sto rubli na ekspedycję.

– Pytam cię: pożyczysz czy nie?

– Powiedz szczerze: na co jemu potrzebne pieniądze?

– To nie sekret. Musi jechać w sobotę do Petersburga.

– Ach tak! – rzekł przeciągle von Koren. – Aha... Rozumiem. A ona z nim jedzie czy nie?

– Ona tymczasem zostanie tutaj. On załatwi swoje sprawy w Petersburgu i wyśle jej pieniądze, wtedy ona pojedzie.

– Zręczny kawał! – powiedział zoolog i wybuchnął krótkim tenorowym śmiechem. – Zręczny kawał. Sprytnie pomyślany.

Podszedł szybko do Samojlenki i stanąwszy przed nim twarzą w twarz zapytał patrząc mu w oczy:

– Powiedz szczerze: on już jej nie kocha? Powiedz: nie kocha? Tak?

– Tak – wykrztusił Samojlenko i cały się spocił.

– Jakie to wstętnie! – powiedział von Koren i po jego twarzy było widać, że istotnie czuł wstętnie. – Jedno z dwojga, Aleksandrze Dawidycz: albo jesteś z nim w znowie, albo, za przeproszeniem, skończony z ciebie mazgaj. Czy nie rozumiesz, że on cię zwodzi jak dziecinka w najbezpieczniejszy sposób? Chyba to jest jasne, że on chce się jej pozbyć i rzucić tutaj samą. Albo zwali ją tobie na kark i to przecież jasne, że będziesz musiał ją wyprawić na własny koszt do Petersburga. Czy twój zacny przyjaciel tak cię olśnił swoimi zaletami, że już nie widzisz nawet najprostszyc rzeczy?

– To są tylko przypuszczenia – odparł Samojlenko, siadając z powrotem.

– Przypuszczenia? A więc dlaczego jedzie sam, a nie razem z nią? Zapytaj go, dlaczego ona nie jedzie najprzód, a on później? Szczwana bestia!

Zgnębiony nagłą wątpliwością i podejrzeniem Samojlenko od razu oklapł i spuścił z tonu.

– Nie, to niemożliwe! – powiedział wspominając tę noc, którą Łajewski spędził u niego. – On tak cierpi.

– Cóż z tego? Złodzieje i podpalacze też cierpią.

– Załóżmy nawet, że masz rację... – powiedział Samojlenko w zamyśleniu. – Przypuśćmy... Ale to człowiek młody, w obcych stronach... student, a myśmy też byli studentami i oprócz nas nie ma tu nikogo, kto by mu przyszedł z pomocą.

– Pomagać mu w popełnianiu nikczemności, i to tylko dlatego, żeście obaj byli w różnym czasie na uniwersytecie i obaj nic tam nie robili! Co za nonsens!

– Czekaj, zastanówmy się nad tym spokojnie. Sądzę, że można będzie zrobić tak... – Medytował Samojlenko poruszając palcami. – Pożyczę mu pieniądze, uważasz, ale niech mi da słowo honoru, że przyśle Nadieżdzie Fiodorownie na drogę najpóźniej za tydzień.

– Owszem, on ci da słowo honoru, nawet popłacze się i w końcu sam we wszystko uwierzy, ale co warte takie słowo? On i tak niczego nie dotrzyma, a po paru latach, gdy spotkasz go na Newskim z nową miłością pod rączkę, będzie się usprawiedliwiał tym samym: że go spaczyła cywilizacja i że on właśnie jest odbiciem Rudina... Przestań się nim zajmować, na miłość boską! Odejdź od błota, nie rozgrzebuj go obu rękoma!

Samojlenko na chwilę zamyślił się, a potem rzekł stanowczo:

– Mimo wszystko dam mu pieniądze. Jak sobie chcesz. Nie jestem w stanie odmówić człowiekowi tylko na podstawie przypuszczeń.

– Doskonale. Całuj się z nim do woli!

– Więc daj mi te sto rubli – nieśmiało poprosił Samojlenko.

– Nie dam.

Zapadło milczenie. Samojlenko poczuł się bardzo słaby; jego rysy ułożyły się w przeproszący, zawstydzony, przymilny wyraz i trudno było uwierzyć, że ta zmieszana, dziecinnie żalonna twarz należy do olbrzymiego mężczyzny z orderami i epoletami.

– W tych stronach przewielebny objeżdża swoją diecezję nie karetą, tylko konno – odezwał się diakon odkładając pióro. – Widok jego osoby, siedzącej na koniu, jest niezwykle wzruszający. Jego prosta i skromność pełne są biblijnego majestatu.

– Czy to dobry człowiek? – zapytał von Koren zadowolony ze zmiany tematu.

– No myślę! Gdyby nie był dobry, czyżby go wyświęcono na archirieja?

– Wśród archiriejów trafiają się ludzie zacni i uzdolnieni – powiedział von Koren. – Szkoda tylko, że wielu z nich ma tę samą słabostkę: wyobrazili sobie, że są mężami stanu. Jeden

zajmuje się rusefikacją, drugi krytykuje nauki. To nie ich sprawa. Lepiej byłoby, żeby częściej zaglądali do konsystorza.

– Osoba świecka nie może sądzić archiriejów.

– Dlaczego, diakonie? Archiriej to taki sam człowiek jak ja.

– Niby taki sam, a jednak nie taki – obraził się diakon biorąc pióro do ręki. – Gdyby pan był taki sam, to na panu spoczęłoby błogosławieństwo i byłby pan archiriejem, a skoro pan archiriejem nie jest, to znaczy, że nie taki sam.

– Nie pleć, diakonie! – powiedział Samojlenko z udręką. – Słuchaj, już mam pomysł – zwrócił się do von Korena. – Nie pożyczaj mi tych stu rubli. Będziesz się u mnie stołował jeszcze trzy miesiące, więc daj mi z góry za trzy miesiące.

– Nie dam.

Samojlenko zamrugał oczami i aż spurpurowiał; machinalnie pociągnął ku sobie książkę z falangą i popatrzał na nią, potem wstał i wziął czapkę. Von Korenowi zrobiło się żal doktora.

– Jak tu żyć i pracować z takimi ludźmi – powiedział zoolog i w oburzeniu kopnął nogą jakiś papierek. – Zrozum, że to nie dobroć, nie miłosierdzie, ale małoduszność, mazgajstwo, trucizna! Co zbuduje rozum, to zburzą wasze ślamazarne, do niczego niezdolne serca! Kiedyś, jeszcze jako uczeń, chorowałem na tyfus brzuszny, a moja ciotunia z nadmiaru współczucia uraczyła mnie marynowanymi grzybkami, i o mały włos nie umarłem. Zrozumcie oboje z ciotunią, że miłość do człowieka powinna tkwić nie w sercu, nie w krzyżach i nie w żołądku, ale tu!

Von Koren stuknął się ręką w czoło.

– Masz! – zawołał i rzucił doktorowi sturublowy papierek.

– Niepotrzebnie gniewasz się, Kola – łagodnie odezwał się Samojlenko składając papierek.

– Ja cię bardzo dobrze rozumiem, ale... postaw się w mojej sytuacji.

– Stara baba z ciebie i tyle!

Diakon zachichotał.

– Posłuchaj, Aleksandrze Dawidycz, to moja ostatnia prośba – powiedział z żarem von Koren. – Kiedy będziesz dawał temu łajdakowi pieniądze, postaw mu taki warunek: niech wyjedzie razem ze swoją damulką albo niech ją wyprawi najprzód, a inaczej nie dawaj. Nie należy się z nim certować. Powiedz mu tak, jak ci radzę, bo jeżeli nie powiesz, to dam ci słowo, że pójdę do niego do biura i zrzucę go tam ze schodów, a z tobą w ogóle zerwę. Pamiętaj!

– Cóż! Jeżeli on wyjedzie razem z nią albo wyprawi ją wpierw, to dla niego jeszcze lepiej – powiedział Samojlenko. – On nawet będzie z tego zadowolony. No, do widzenia.

Pożegnał się czule i wyszedł, ale nim zamknął drzwi, obejrzał się na von Korena, zrobił groźną minę i oświadczył:

– To Niemcy cię zbałamucili, bracie! Tak! Niemcy!

XII

Następnego dnia, w czwartek, Maria Konstantinowna obchodziła urodziny swojego Kosti. W południe mieli przyjść goście na pieróg, wieczorem na czekoladę.

Kiedy Łajewski i Nadieżda przyszli wieczorem, zoolog, który już siedział w salonie i pił czekoladę, zapytał Samojlenkę:

– Rozmawiałeś z nim?

– Jeszcze nie.

– Pamiętaj, żebyś mówił bez ogródek. Nie rozumiem bezczelności tych państwa. Przecież doskonale wiedzą, co myśli rodzina Bitiugowów o ich nieprawidłowym związku, a mimo to wciąż tu się pchają.

– Jeżeli mamy zwracać uwagę na każdy przesąd, to w ogóle nigdzie nie można bywać.

– Czy wstręt ludzki do związków pozamałżeńskich i rozpusty to przesąd?
– Naturalnie. Przesąd i nienawistny stosunek do ludzi. Żołnierze, kiedy widzą osobę lek-
kich obyczajów, śmieją się i gwizdzą, a zapytaj ich: jacy są oni sami?
– Gwizdzą nie bez racji. To, że wiejskie dziewczuchy duszą swoje nieślubne dzieci i idą na
katorgę, to, że Anna Karenina rzuciła się pod pociąg, że na wsi smaruje się wrota dziegiem,
że mnie i ciebie nie wiadomo czemu pociąga do Kati jej niewinność i że każdy czuje nieświadomą
potrzebę czystej miłości, chociaż wie, że takiej miłości nie ma – czyż to wszystko prze-
sąd? To, bracie, jedyna rzecz, która ocalała z naturalnego doboru i gdyby nie było tej żywio-
łowej siły, regulującej stosunki płciowe, panowie Łajewscy pokazaliby, gdzie raki zimują, a
ludzkość by się zdegenerowała w ciągu dwóch lat.

Łajewski wszedł do salonu, przywitał się ze wszystkimi i ściskając von Korenowi rękę
uśmiechnął się przymilnie. Wypatrzwszy odpowiedni moment szepnął do Samojlenki:

– Przepraszam cię, Aleksandrze Dawidycz, chciałbym ci coś powiedzieć.

Samojlenko wstał, objął go w pól i obaj przeszli do gabinetu pana domu.

– Jutro piątek... – powiedział Łajewski, gryząc paznokcie. – Masz, coś obiecał?

– Mam tylko dwieście dziesięć. Reszta dziś lub jutro. Bądź spokojny.

– Chwała Bogu!... – odetchnął Łajewski i ręce mu się zatrzęsły z radości. – Uratowałeś
mnie, Aleksandrze Dawidycz, i przysięgam ci na Boga, na własne szczęście i na co chcesz,
że odeślę ci te pieniądze natychmiast po przyjeździe. I stary dług też odeślę.

– Wiesz co, Wania... – rzekł Samojlenko biorąc Łajewskiego za guzik i czerwieniejąc. –
Daruj, że wtrącam się do twoich spraw rodzinnych, ale... dlaczego nie chcesz wyjechać razem
z Nadieżdą Fiodorowną?

– Czyż to możliwe, dziwaku jeden? Ktoś z nas musi zostać, bo wierzyiele narobią wrza-
sku. Przecież jestem winien w kilku sklepach blisko siedemset rubli, jeżeli nie więcej. Pocze-
kaj, wyślę im pieniądze, zamknę gęby, wtedy i ona wyjedzie.

– Aha... A dlaczego jej wpiery nie wyprawisz?

– Ach, mój Boże, czy to możliwe? – zachnął się Łajewski. – Przecież to kobieta, co ona
tam sama robi? Co ona potrafi? To tylko zwłoka i niepotrzebny wydatek.

„Słusznie...” – pomyślał Samojlenko, ale przypomniawszy sobie warunek von Korena spu-
ścił oczy i rzekł ponuro:

– Ja się z tobą nie zgadzam. Albo jedź razem z nią, albo wypraw ją najprzód, bo inaczej...
inaczej nie dam ci pieniędzy. To moje ostatnie słowo.

Cofnął się, nacisnął plecami drzwi i wysunął się do salonu purpurowy ze wstydu.

„Piątek... piątek – myślał Łajewski, idąc do salonu. – Piątek...”

Podano mu filiżankę czekolady. Sparzył sobie wargi i język gorącą czekoladą i znów po-
myślał:

„Piątek... piątek...”

Nie wiadomo czemu słowo „piątek” nie wychodziło mu z głowy; nie myślał o niczym,
prócz piątku, i tylko jedno było dla niego jasne – to tkwiło nie w głowie, lecz gdzieś pod ser-
cem – że nie uda mu się wyjechać w sobotę. A przed nim stał Nikodim Aleksandrycz, czy-
ściutki, z zaczesanymi na skronie włosami, i prosił:

– Niech pan skosztuje, proszę uprzejmie...

Maria Konstantinowna pokazywała gościom cenzurkę Kati i mówiła przeciągłym głosem:

– Teraz w szkole jest okropnie, okropnie trudno! Takie wymagania...

– Mamo! - jęczała Katia, nie wiedząc, gdzie oczy podziać ze wstydu i nadmiaru pochwał.

Łajewski też zajrzał do cenzurki i pochwalił. Religia, język rosyjski, sprawowanie, piątki i
czwórki skakały mu przed oczami, i to wszystko razem z natrętnym słowem „piątek”, z za-
czesaną na skronie fryzurą Bitiugowa i z czerwonymi policzkami Kati przyprawiało go o tak
bezgraniczną, niepokonaną nudę, że omal nie krzyknął z rozpaczony i zaraz pomyślał: „Czyż-
bym... czyżbym miał nie wyjechać?”

Zsunęto dwa karciane stoliki i wszyscy zasiedli do gry w pocztę. Łajewski też usiadł.

„Piątek... piątek... – powtarzał w duchu uśmiechając się i wyjmując z kieszeni ołówkę. – Piątek...”

Chciał rozważyć swoją sytuację i lękał się tych myśli. Bał się przyznać, że doktor przyłapał go na kłamstwie, które on tak długo i starannie ukrywał przed samym sobą. Marząc o przyszłości, za każdym razem zakreślał swoim myśлом pewną granicę. Wsiądzie do wagonu i pojedzie – to rozwiązywało kwestię całego życia i tu urywały się marzenia. Jak daleki mętny płomyczek na polu, tak w jego głowie migąła czasami myśl, że gdzieś w jednym z petersburskich zaułków, i to bardzo nieprędko, on, by ostatecznie zerwać z Nadieżdą Fiodorowną i spłacić długi, będzie musiał popełnić drobne kłamstwo; skłamię tylko jeden raz, po czym nastąpi kompletne odrodzenie. I to jest słuszne: ceną drobnego kłamstwa okupi wielką prawdę.

Ale teraz, kiedy doktor, odmawiając pożyczki, tym samym wyraźnie napomknął o oszustwie, Łajewski zrozumiał, że będzie musiał kłamać nie tylko w dalekiej przyszłości, ale i dziś, i jutro, i za miesiąc, i może nawet do końca życia. Istotnie, po to, żeby wyjechać, musi okłamać Nadieżdę, wierzycieli i zwierzchników; następnie, żeby zdobyć w Petersburgu pieniądze, trzeba będzie okłamać matkę i powiedzieć jej, że już zerwał z Nadieżdą; matka da mu najwyżej pięćset rubli, czyli że on już oszukał doktora, ponieważ nie będzie mógł w najbliższym czasie zwrócić mu pożyczki. Następnie, gdy Nadieżda przyjedzie do Petersburga, trzeba będzie popełnić cały szereg drobnych i grubych kłamstw, żeby doprowadzić do zerwania; i znowu łzy, nuda, obmierzłe życie, skrucha, a więc żadne odrodzenie nie nastąpi. Oszustwo i nic więcej. W wyobraźni Łajewskiego wyrosła cała góra kłamstwa. Żeby ją przesadzić jednym susem, a nie kłamać wciąż i po trochu, należało zdecydować się na stanowczy krok: na przykład wstać bez słowa, włożyć czapkę i natychmiast wyjechać bez pieniędzy, nic nikomu nie mówiąc, ale Łajewski wiedział, że na to się nie zdobędzie.

„Piątek, piątek... – myślał znowu. – Piątek...”

Wszyscy pisali kartki, składali je w pół i wrzucali do starego cylindra Nikodima Aleksandryczy, a kiedy zbierała się duża ilość, Kostia, występujący jako pocztylion, obchodził stół i rozdawał kartki adresatom. Diakon, Katia i Kostia, którzy otrzymywali śmieszne liściki i sami starali się pisać jak najśmieszniej, byli zachwyceni zabawą.

„Musimy porozmawiać” – przeczytała Nadieżda w swojej karteczce. Zerknęła ku Marii Konstantinownie, a ta z sacharynowym uśmiechem pokiwała głową.

„O czym będziemy mówiły? – pomyślała Nadieżda. – Jeżeli nie można powiedzieć wszystkiego, to po co w ogóle mówić?”

Przed wyjściem z domu związała Łajewskiemu krawat i ten drobny fakt nappełnił jej duszę tkliwością i smutkiem. Malujący się na jego twarzy niepokój, roztargnione spojrzenie, bladeść, dziwna zmiana, jaka w nim zaszła ostatnimi czasami, i to, że ona sama ukrywała przed nim pewną straszliwą i wstrętną tajemnicę i że ręce jej się trzęsły, gdy wiązała mu krawat – wszystko według niej świadczyło o tym, że już długo ze sobą nie pożyją. Spoglądała na niego jak na ikonę, z lękiem, ze skruchą, i myślała: „Przebacz, przebacz...” A przy stole naprzeciw Nadieżdy siedział Aczmijanow i nie odrywał od niej swoich czarnych zakochanych oczu; dręczyły ją grzeszne pragnienia, aż wstydziła się siebie samej, bała się, że nawet tęsknota i smutek nie powstrzymają jej i że nie dziś, to jutro ulegnie brudnej namiętności, bo jak nałogowy pijak już nie potrafi zapanować nad sobą.

Aby położyć kres tej sytuacji, dla niej haniebnej i dla Łajewskiego ubliżającej, postanowiła, że wyjedzie. Będzie go błagała ze łzami, żeby ją puścił, a gdyby się temu sprzeciwił, wyjedzie po kryjomu. Nie opowie mu o tym, co się stało. Niech on zachowa czyste wspomnienie o niej.

„Kocham, kocham, kocham” – przeczytała Nadieżda. – To od Aczmijanowa.

Zamieszka gdzieś w zapadłym kącie, weźmie się do pracy i będzie wysyłała Łajewskiemu „od nieznanego przyjaciela” pieniądze, haftowane koszule, tytoń, a wróci do niego dopiero na

stare lata albo w wypadku, gdyby ciężko zachorował i nie mógł się obejść bez pielęgniarki. Kiedy on na stare lata dowie się, z jakich powodów nie zgodziła się zostać jego żoną i odeszła, doceni jej ofiarę i wybaczy wszystko.

„Pani ma za długie nos” – To pewnie od diakona albo od Kosty.

Nadieżda zobaczyła w marzeniu, jak żegnając się z Łajewskim uściśnie go mocno, pocałuje w rękę i zaprzysięgnie miłość do końca życia, a później, w zapadłym kącie, wśród obcych ludzi, będzie każdego dnia myślała o tym, że gdzieś daleko żyje jej przyjaciel, ukochany, człowiek szlachetny, czysty i wzniosły, który przechowuje jasne wspomnienie o niej.

„Jeżeli dzisiaj nie umówi się pani ze mną na schadzkę, daję słowo honoru, że poczynię odpowiednie kroki. Tak się nie postępuje z porządnymi ludźmi, trzeba to zrozumieć”. To oczywiście od Kirilina.

XIII

Łajewski otrzymał dwie kartki, rozwinął jedną z nich i przeczytał: „Nie wyjeżdżaj, kochane-
czku”.

„Kto to mógł napisać? – głowił się. – Naturalnie, że nie Samojlenko... I nie diakon, bo on nie wie, że chcę wyjechać. Może von Koren?”

Zoolog pochylił się nad stołem i rysował piramidę. Łajewskiemu wydało się, że von Korenowi śmieją się oczy.

„Pewnie Samojlenko wygadał się...” – pomyślał Łajewski.

Na drugiej kartce było napisane tym samym pretensjonalnym charakterem pisma z ogonami i zakrętami:

„A ktoś w sobotę nie wyjedzie”.

„Głupie naigrzanie się – pomyślał Łajewski. – Piątek, piątek...”

Coś go ścisnęło za gardło. Dotknął ręką kołnierzyka i chrząknął, lecz zamiast chrząknięcia z gardła wydobył się śmiech.

– Cha-cha-cha! – śmiał się Łajewski. – Ch-cha-cha! „Z czego ja?...” – myślał. – Cha-cha-cha!

Starął się powstrzymać, zasłaniał usta ręką, ale śmiech dławił mu pierś i szyję, a ręka nie mogła zasłonić ust.

„Jakie to jednak głupie! – myślał, zataczając się ze śmiechu. – Zwariowałem czy co?”

Śmiech rozbrzmiewał coraz wyższymi tonami, aż przeszedł w coś, co przypominało ujadanie bolończyka. Łajewski chciał wstać od stołu, ale nogi się pod nim ugięły, a prawa ręka jakoś dziwnie i wbrew woli skakała po stole, kurczowo chwytając papierki i gnioła je. Zauważył zdumione spojrzenia, poważną, zaniepokojoną twarz Samojlenki, wzrok zoologa pełen zimnego szyderstwa i wstrętu i zrozumiał, że ma po prostu atak hysterii.

„Co za ohyda, co za wstyd! – myślał czując ciepło łez na twarzy. – Ach, jaka hańba! Nigdy tego nie miałem...”

Oto ujęto go pod ręce i poprowadzono podtrzymując z tyłu głowę; oto przed oczami zablasyła szklanka i uderzyła o zęby, a woda wylała się na pierś; oto mały pokój, pośrodku dwa zsunięte łóżka przykryte czystymi, białymi jak śnieg kapami. Rzucił się na jedno z łóżek i zaszlochał.

– To nic, to nic – mówił Samojlenko. – To się zdarza.... To się zdarza...

Zmartwiała ze strachu, cała rozdygotana w przeczuciu jakichś okropności Nadieżda stała przy łóżku i pytała

– Co ci, co? Na miłość Boga, powiedz...

„Czy Kirilin czegoś nie napisał?” – myślała.

– To nic – powiedział Łajewski śmiejąc się i płacząc. – Idź stąd... kochanie.

Jego twarz nie wyrażał ani nienawiści, ani wstrętu: to znaczy, że on nic nie wie; Nadieżda trochę się uspokoiła i poszła do salonu.

– Tylko nie denerwować się, moja droga! – powiedziała Bitiugowa przysiadając się i biorąc ją za rękę. – To przejdzie. Mężczyźni też są słabi jak i my, niebogi. Przeżywacie teraz oboje pewien kryzys... to takie zrozumiałe! No, moja droga, czekam na odpowiedź. Porozmawiajmy.

– Nie, nie będziemy rozmawiały – odparła Nadieżda wsłuchując się w szlochanie Łajewskiego. – Tak mnie wszystko gnębi... Pani pozwoli, że odejdę.

– Co pani mówi! – przeraziła się Bitiugowa. – Czy pani sądzi, że puszczę panią bez kolacji? Przekąsimy coś niecoś, a wtenczas z Bogiem.

– Tak mnie wszystko gnębi... – szepnęła Nadieżda Fiodorowna trzymając się oburącz za poręcz fotela, żeby nie upaść.

– On chyba cierpi na konwulsje dziecięce! – oświadczył wesoło von Koren wchodząc do salonu, ale na widok Nadieżdy Fiodorowny zmieształ się i wyszedł.

Łajewski, gdy atak hysterii minął, siedział na cudzym łóżku i rozmyślał:

„Co za wstyd... rozbeczałem się jak pensjonarka. Jestem chyba śmieszny i szkaradny. Wyjdę przez kuchnię... Zresztą to by wyglądało, że traktuję swoją histerię poważnie. Należy obrócić ją w żart...”

Przejrzał się w lustrze, odczekał jeszcze chwilę i poszedł do salonu.

– Oto jestem! – rzucił z uśmiechem; było mu straszliwie wstyd i czuł, że inni też się za niego wstydzą. – To dopiero historia – powiedział siadając. – Ni z tego, ni z owego, proszę państwa, poczułem straszny, świdrujący ból w boku... – nie do zniesienia... nerwy nie wytrzymały i... i taki nonsens! To nasza nerwowa epoka, nie ma rady!

Przy kolacji Łajewski pił wino, rozmawiał i od czasu do czasu z nagłym westchnieniem gładził się po boku, jakby podkreślając, że ból jeszcze trwa. Nikt mu nie wierzył prócz Nadieżdy, a on to widział wyraźnie.

Po dziewiątej wszyscy poszli na spacer. Nadieżda w obawie przed rozmową z Kirilinem starała się o krok nie odstępować od Bitiugowej i dzieci. Omdlewała ze strachu i zgryzoty i czując zbliżający się atak malarii ledwo trzymała się na nogach, ale nie chciała iść do domu, bo była pewna, że za nią pójdzie Kirilin lub Aczmijanow albo obaj razem. Kirilin szedł z tyłu obok Nikodima Aleksandrycza i nucił półgłosem:

– Nie pozwolę sobie igra-ać! Nie pozwolę!

Z bulwaru skręcili ku pawilonowi, poszli brzegiem i długo przyglądali się fosforyzującemu morzu. Von Koren zaczął tłumaczyć, dlaczego fosforyzuje.

XIV

– No, już czas na winta... Czekają na mnie – oznajmił Łajewski. – Do widzenia państwu.

– Ja też idę, chwileczkę – powiedziała Nadieżda i wzięła go pod rękę.

Pożegnali się z resztą towarzystwa i odeszli. Kirilin również pożegnał się, powiedział, że idzie w tę samą stronę, i poszedł razem z nimi.

„Co ma być, to będzie... – myślała Nadieżda. – Niech tam...”

Wydało jej się, że wszystkie niedobre wspomnienia wymknęły się z jej głowy na zewnątrz, idą obok niej w ciemności i ciężko dyszą, a ona jak mucha, która wygrzebała się z atramentu, pełźnie z trudem po bruku i plami na czarno bok i rękę Łajewskiego. Jeżeli Kirilin – myślała – uczyni coś złego, to nie on będzie winien, tylko ona sama. Przecież był czas, kiedy żaden mężczyzna nie śmiał rozmawiać z nią tak jak Kirilin i ona sama rozdarła ten czas jak nitkę, zniszczyła go bezpowrotnie – któż jest temu winien? Odurzona pragnieniami zaczęła uśmiechać się do zupełnie nieznanego człowieka, chyba tylko dlatego, że był postawny i wysoki,

po dwóch schadzkach już poczuła się znudzona i rzuciła go, czyż więc on – myślała teraz – nie ma prawa postąpić z nią tak, jak się jemu żywnie podoba?

– Tu cię pożegnam, kochanie – powiedział Łajewski, zatrzymując się. – Ilja Michajłycz cię odprowadzi.

Uklonił się Kirilinowi, szybkim krokiem przeszedł na drugą stronę bulwaru, przeciął ulicę i stanął przed domem Szeszkowskiego, gdzie świeciło się w oknach; w chwilę potem dobiegło trzaśnięcie furtką.

– Teraz pani zechce mnie wysłuchać – zaczął Kirilin. – Nie jestem młokos ani żaden Aczkasow, Łaczkasow czy Zaczkasow. Żądam poważnego traktowania!

Nadzieździe zaczęło walić serce. Nie odpowiedziała ani słowa.

– Pani gwałtowną zmianę w stosunku do mnie z początku tłumaczyłem kokieterią – ciągnął Kirilin – ale teraz widzę, że pani po prostu nie umie postępować z przyzwoitymi ludźmi. Pani po prostu chciała pobawić się mną jak tym ormiańskim pętakiem, ale ja jestem przyzwoity człowiek, toteż żądam, żeby ze mną postępowano jak z przyzwoitym człowiekiem. A więc do usług...

– Tak mnie wszystko gnębi... – powiedziała Nadzieźda, rozplakała się i odwróciła głowę, żeby ukryć łzy.

– Mnie też wszystko gnębi, ale co z tego?

Kirilin umilkł na chwilę, a potem wyrzekł z wolna i dobitnie:

– Zaznaczam jeszcze raz, łaskawa pani: jeżeli dzisiaj nie dojdzie do randki, to jeszcze dzisiaj zrobię skandal.

– Niech pani mnie puści dzisiaj – powiedziała Nadzieźda i aż nie poznała własnego głosu, tak był cienki i żalony.

– Powinienem dać pani nauczkę... Przepraszam za mój ordynarny ton, ale muszę dać pani nauczkę. Tak, niestety, muszę... Żądam dwóch schadzek: dzisiaj i jutro. Pojutrze będzie pani całkiem wolna i może pani iść, gdzie się jej podoba i z kim łaska. Dziś i jutro!

Nadzieźda podeszła do swojej furtki i zatrzymała się.

– Niech pan mnie puści! – szeptała rozdygotana, nic nie widząc w ciemnościach oprócz białego munduru. – Pan ma rację, jestem okropną kobietą, zawiniłam, ale niech pan mnie puści... Ja pana proszę... – dotknęła jego zimnej ręki i znów drgnęła – ja pana błagam...

-- Niestety! – westchnął Kirilin. – Niestety! To nie leży w moich planach, bo chcę dać pani nauczkę, a zresztą, madame, ja w ogóle nie wierzę kobietom.

– Tak mnie wszystko gnębi...

Nadzieźda wsłuchiwała się w jednostajny szum morza, spojrzała na usiane gwiazdami niebo i zapragnęła jak najprędzej skończyć z tym wszystkim, pozbyć się przekłętą smaku życia z jego morzem, gwiazdami, mężczyznami, malarią...

– Tylko nie u mnie w domu... – powiedziała zimno. – Chodźmy gdziekolwiek.

– Pójdziemy do Miuridowa. Tam najlepiej.

– Gdzie to jest?

– Koło starego wału.

Szybkim krokiem poszła ulicą, potem skręciła w zaułek, który prowadził w stronę gór. Było ciemno. Na bruku jaśniały gdzieś blade smugi blasku padającego z oświetlonych okien, a jej zdawało się, że ona jak mucha to grzęźnie w atramencie, to znów wypełza na światło. Kirilin szedł za nią. W pewnej chwili potknął się, omal nie upadł i parsknął śmiechem.

„Pijany... – pomyślała Nadzieźda. – Wszystko jedno... wszystko jedno... Niech tam”.

Aczmijanow wkrótce też pożegnał się z całym towarzystwem i podążył w trop za Nadzieźdą, żeby namówić ją na przejażdżkę łodzią. Podeszedł pod jej dom i zajrzał przez palisadę: okno było szeroko otwarte, światło nigdzie się nie paliło.

– Nadzieźdo Fiodorowno! – zawołał.

Minęła dłuższa chwila. Zawołał ponownie.

– Kto to? – odezwał się głos Olgi.

– Czy Nadieżda Fiodorowna w domu?

– Nie ma jej. Jeszcze nie wróciła.

„To dziwne... Bardzo dziwne – pomyślał Aczmijanow z nagłym uczuciem silnego niepokoju. – Przecież miała iść do domu...”

Przeszedł się po bulwarze, potem po ulicy i zajrzał do okien Szeszkowskiego. Łajewski siedział przy stole bez surduta i uważnie patrzył w karty.

– Dziwne, dziwne... – mruknął Aczmijanow i na wspomnienie o historycznym ataku Łajewskiego poczuł wstyd. – Jeżeli ona nie w domu, to gdzie?....

Znów poszedł w stronę mieszkania Nadieżdy, spojrzął na ciemne okna.

„Oszukała, oszukała...” – myślał przypominając sobie, że spotkawszy się z nim w południe u Bitiugowów sama zaproponowała wieczorny spacer łódką.

W oknach domu, gdzie mieszkał Kirilin, było ciemno. Na ławeczce przed bramą siedział stójkowy i spał. Kiedy Aczmijanow zobaczył ciemne okna i policjanta, wszystko stało się dlań jasne. Już chciał iść do domu i zawrócić, ale w końcu znalazł się ponownie przed mieszkaniem Nadieżdy. Usiadł na ławeczce i zdjął kapelusz, czując, że głowa mu płonie z zazdrości i poczucia krzywdy.

Zegar na miejskiej cerkwi bił tylko dwa razy na dobę: w południe i o północy. Wkrótce potem, gdy wybiła północ, rozległy się szybkie kroki.

– A więc jutro wieczorem znowu u Miuridowa! – usłyszał nagle Aczmijanow i poznał głos Kirilina. – O godzinie ósmej. Do widzenia.

Przed palisadą ogródka ukazała się Nadieżda. Nie zauważywszy siedzącego na ławeczce Aczmijanowa, przesunęła się przed nim jak cień, otworzyła furtkę i nie zamykając jej weszła do domu. U siebie w pokoju zapaliła świecę, szybko rozebrała się, ale nie położyła się do łóżka, tylko uklękła, otoczyła ramionami krzesło i przywarła czołem do oparcia.

Łajewski wrócił do domu o trzeciej nad ranem.

XV

Postanowiwszy, że nie okłamię wszystkich od razu, lecz każdego na raty, Łajewski następnego dnia o pół do drugiej poszedł do Samoilenki, żeby wydostać pieniądze i umożliwić sobie wyjazd koniecznie na sobotę. Po wczorajszym ataku, który do ciężkiego stanu wewnętrznego dodał jeszcze dotkliwe uczucie wstydu, dalsze pozostawanie w mieście było wręcz niemożliwe. Jeżeli Samoilenko uprze się przy swoich warunkach, myślał Łajewski, należy pozornie zgodzić się i wziąć pieniądze, a jutro tuż przed odejściem statku powiedzieć, że Nadieżda odrzuciła propozycję wyjazdu; dziś wieczorem trzeba ją będzie przekonać, że to wszystko robi się dla jej dobra. Jeżeli Samoilenko, który wyraźnie ulega wpływom von Korena, kategorycznie odmówi pożyczki albo zaproponuje jakieś nowe warunki, to on, Łajewski, jeszcze dziś odjedzie towarowym statkiem czy nawet żaglowcem do Nowego Afonu względnie Noworosyjska, stamtąd nada uniżoną depeszę do matki i będzie czekał, aż matka wyśle pieniądze na dalszą drogę.

U Samoilenki Łajewski zastał czekającego w salonie von Korena. Zoolog, który właśnie przyszedł na obiad, swoim zwyczajem otworzył album i zaczął oglądać podobizny panów w cylindrach i pań w czepkach.

„A to nie w porę! – pomyślał Łajewski. – Ten może przeszkodzić”.

– Dzień dobry panu!

– Dzień dobry – odpowiedział von Koren nie patrząc na Łajewskiego.

– Czy Aleksander Dawidycz w domu?

– Tak. W kuchni.

Łajewski poszedł do kuchni, ale zobaczywszy od drzwi, że Samojlenko jest zajęty przygotowaniem sałaty, wrócił do salonu i usiadł. W obecności zoologa zawsze czuł się nieswojo, a teraz bał się ewentualnej rozmowy o ataku histerycznym. Chwila minęła w milczeniu. Nagle von Koren spojrział na Łajewskiego i zapytał:

– Jak się pan czuje po wczorajszym?

– Doskonale – odpowiedział Łajewski czerwieniejąc. – Właściwie nic szczególnego się nie stało.

– Aż do wczoraj byłem przekonany, że na histerię chorują tylko damy, i dlatego sądziłem, że pan dostał ataku epilepsji.

Łajewski uśmiechnął się przymilnie i stwierdził w duchu:

„Jaki brak subtelności! Przecież on doskonale wie, że mi ciężko...”

– Tak, to naprawdę śmieszne – powiedział wciąż z tą samą przymilną miną. – Śmiałem się dziś całe rano. Ciekawa rzecz: człowiek w ataku histerycznym wie, że to nonsens, i w głębi duszy z niego kpi, a równocześnie nie może powstrzymać się od płaczu. W naszej nerwowej epoce jesteśmy wszyscy niewolnikami własnych nerwów; to one nami rządzą, tak jak im się podoba. Pod tym względem cywilizacja wyświadczyła nam niedźwiedzią przysługę.

Łajewski mówił, ale było mu przykro, że von Koren słucha go z całą powagą i przygląda mu się bacznie, nie mrugnawszy powieką, jakby go badał; było mu też wstyd przed sobą samym, że pomimo całej niechęci do von Korena nie może stłumić przymilnego uśmiechu.

– Chociaż prawdę powiedziawszy – ciągnął – atak miał swoje bezpośrednie powody, i to dość uzasadnione. Ostatnio mój stan zdrowia bardzo się pogorszył. Niech pan do tego doda nudę, ciągle pustki w kieszeni... brak ludzi i wspólnych zainteresowań... W ogóle sytuacja pod psem.

– Tak, rzeczywiście jest pan w sytuacji bez wyjścia – powiedział von Koren.

Te spokojne, zimne słowa, zawierające w sobie ni to kpinę, ni to niewczesne proroctwo, mocno dotknęły Łajewskiego. Przypomniały mu wczorajszy wieczór i spojrzenie zoologa pełne szyderstwa i wstrętu, chwilę więc milczał, a potem zapytał już bez uśmiechu:

– A skąd pan wie, jaka jest moja sytuacja?

– Pan sam mówił o niej przed chwilą, a zresztą pańscy przyjaciele tak gorąco się panem interesują, że od rana do nocy słyszę tylko o panu.

– Jacy przyjaciele? Samojlenko czy co?

– Tak, i on też.

– Ja bym prosił, żeby Aleksander Dawidycz i w ogóle moi przyjaciele zanadto się o mnie nie troszczyli.

– Właśnie idzie Samojlenko, niech go pan poprosi, żeby się zanadto o pana nie troszczył.

– Nie rozumiem tego tonu... – bąknął Łajewski; ogarnęło go takie uczucie, jakby dopiero teraz zrozumiał, że zoolog nienawidzi go, pogardza nim, szydzi z niego, że jest jego najgorszym, nieprzejednanym wrogiem. – Niech pan zachowa ten ton dla innych osób – dodał po cichu, nie będąc w stanie mówić głośno, bo nienawiść już ścisnęła go za szyję i pierś, podobnie jak wczoraj niepokonane pragnienie śmiechu.

Wszedł Samojlenko bez surduta, spocony, cały purpurowy od kuchennego żaru.

– A, jesteś? – powiedział do Łajewskiego. – Dzień dobry, mój drogi. Jadłeś obiad? Powiedz bez ceremonii: jadłeś?

– Aleksandrze Dawidyczu – odparł Łajewski wstając – jeśli nawet zwróciłem się do ciebie z intymną prośbą, nie oznacza to, że zwolniłem cię z obowiązku dyskrecji i poszanowania dla cudzych sekretów.

– Co takiego? – zdziwił się Samojlenko.

– Skoro nie masz pieniędzy – ciągnął Łajewski podnosząc głos i w zdenerwowaniu przestępując z nogi na nogę – to nie pożyczaj, odmów, ale nie rozgłaszaj po wszystkich zaułkach,

że jestem w sytuacji bez wyjścia i tak dalej. Nie cierpię tych dobrodziejstw i przyjacielskich usług, kiedy się robi za grosz, a gada za rubla. Możesz popisywać się swoimi dobrodziejstwami, ile dusza zapagnie, ale nikt cię nie upoważnił do zdradzania cudzych tajemnic.

– Jakich tajemnic? – zapytał Samojlenko zdumiony i już zły. – Jeżeliś przyszedł po to, żeby wymyślać, to idź sobie stąd. Przyjdź kiedy indziej!

Przypomniała mu się zasada, że kiedy człowiek gniewa się na swojego bliźniego, powinien policzyć w myśli do stu i ochłonać, zaczął więc szybko liczyć.

– Prosiłbym was wszystkich, żebyście się mną nie zajmowali – mówił Łajewski. – Żebyście nie zwracali na mnie żadnej uwagi. Nikogo nie powinna obchodzić ani moja osoba, ani moje życie. Owszem, chcę wyjechać! Owszem, robię długi, żyję z cudzą żoną, cierpię na histerię, jestem banalny i nie mam tak głębokiego umysłu, jak niektórzy ludzie, ale co to kogo obchodzi? Trzeba mieć szacunek dla jednostki.

– Daruj, bracie – powiedział Samojlenko doliczywszy do trzydziestu pięciu – ale...

– Szacunek dla jednostki! – przerwał mu Łajewski. – Ta wieczna gadanina na cudzy temat, te bładania, jakieś tropienie, podsłuchiwanie... to przyjacielskie współczucie... do diabła z tym wszystkim! Pożyczają mi pieniądze i jak młokosowi proponują warunki! Traktują mnie jak diabli wiedzą co! Ja już nic nie chcę! – wrzasnął Łajewski chwiejąc się ze wzburzenia, pełen obawy, że znów dostanie ataku. „A więc nie wyjadę w sobotę” – mignęło mu w myśli. – Ja nic nie chcę! Tylko proszę, jeśli łaska, wyzwolić mnie spod opieki. Nie jestem sztubak ani szaleniec, proszę więc o uchylenie tego nadzoru!

Wszedł diakon i na widok Łajewskiego, który z pobladłą twarzą wymachiwał rękami i zwracał się ze swoją dziwną oracją do portretu księcia Woroncowa, stanął w drzwiach jak wryty.

– Ciągłe zagładanie do mojej duszy – wołał Łajewski – znieważa we mnie godność ludzką, prosiłbym więc dobrowolnych agentów, aby zaprzestali szpiegowania! Dość tego!

– Coś ty... co pan powiedział? – zapytał Samojlenko, doliczywszy do stu, i podszedł do Łajewskiego z purpurową twarzą.

– Dość tego! – powtórzył Łajewski dusząc się i chwytając czapkę.

– Jestem rosyjskim lekarzem, szlachcicem i radcą stanu – wyrzekł dobitnie Samojlenko. – Szpiegiem nigdy nie byłem i nikomu nie pozwolę sobie obrażać! – krzyknął drżącym głosem, akcentując ostatnie słowo. – Milcz pan!

Diakon, który nigdy nie podejrzewał, że doktor może być tak majestatyczny, nadęty, czerwony i groźny, zacisnął usta dłonią, wybiegł do przedpokoju i wybuchnął śmiechem.

Łajewski widział niby przez mgłę, że von Koren podniósł się i włożywszy ręce do kieszeni przybrał taką postawę, jakby czekał, co będzie dalej; ta spokojna postawa wydawała się Łajewskiemu w najwyższym stopniu bezczelna i obraźliwa.

– Zechce pan cofnąć swoje słowa! – wrzasnął Samojlenko.

Łajewski, który już nie pamiętał, co to były za słowa, odparł:

– Proszę mi dać spokój! Ja nic nie chcę. Chcę tylko, żeby pan i niemieckie przybłędy żydowskiego pochodzenia dali mi spokój! W przeciwnym wypadku podejmę jakieś kroki. Będę się bił.

– Teraz wszystko jasne! – powiedział von Koren wychodząc zza stołu. – Pan Łajewski przed wyjazdem pragnie zabawić się w pojedynek. Mogę sprawić mu tę przyjemność. Panie Łajewski, przyjmuję pańskie wyzwanie.

– Wyzwanie? – wyrzekł cichym głosem Łajewski zbliżając się do zoologa i patrząc z nienawiścią na jego śniade czoło i kędzierzawe włosy. – Wyzwanie? Ale z chęcią! Nienawidzę pana! Nienawidzę!

– Bardzo mnie to cieszy. Jutro rano, jak najwcześniej, przy karczmie Kierbałaja, ze wszystkimi akcesoriami w pańskim guście. A teraz proszę się wynosić.

– Nienawidzę! – mówił Łajewski cichym głosem, ciężko dysząc. – Od dawna nienawidzę! Pojedynek! Oczywiście!

– Zabierz go, Aleksandrze Dawidycz, albo ja wyjdę – powiedział von Koren. – On mnie ugryzie.

Spokojny ton von Korena otrzeźwił doktora; Samojlenko jakby nagle ocknął się, oprzytomniał, ujął oburącz Łajewskiego wpół i odciągając go od zoologa, wybąkał tklwym, drżącym ze wzburzenia głosem:

– Przyjaciele moi... zacni, drodzy... Pogorączkowaliście się i dosyć... i dosyć... Przyjaciele moi...

Słyszając ten łagodny, przyjazny głos, Łajewski poczuł, że przed chwilą w jego życiu stała się rzecz niebywała, niesamowita, jakby o mały włos nie został przejechany przez pociąg; z trudem stłumił wybuch płaczu, machnął ręką i wybiegł z pokoju.

„Doświadczyc na sobie czyjejs nienawiści, ukazać się przed człowiekiem nienawidzącym w żalonym, bezradnym, godnym pogardy stanie, Boże, jakie to ciężkie! – myślał w chwilę później siedząc w pawilonie i czując na całym ciele jakby rdzę wzbudzonej przez siebie nienawiści. – Jakie to brutalne, Boże!”

Zimna woda z koniakiem nieco go orzeźwiła. Wyobraził sobie z całą wyrazistością spokojną, wyniosłą twarz von Korena, jego spojrzenie, koszulę przypominającą dywan, jego głos, białe ręce, i przez serce znowu przewaliła się nienawiść – ciężka, namiętna, zachłanna, domagająca się zadośćuczynienia. W marzeniu przewracał von Korena na ziemię, deptał go nogami. Z drobiazgową dokładnością wspominał wszystko, co się stało, i dziwił się, jak mógł uśmiechać się przymilnie do tego zera i w ogóle zabiegać o opinię przeciętnych, nikomu nie znanych człowiecząt, zamieszkałych w nędznym mieście, którego, zdaje się, nawet nie ma na mapie i o którym nic nie wie żaden przyzwoity człowiek w Petersburgu. Gdyby nagle ta miejscina spłonęła lub zapadła się pod ziemię, w Rosji przeczytano by o tym z takim samym znużeniem jak ogłoszenie o sprzedaży używanych mebli. Zabić jutro von Korena czy zostawić go przy życiu – to jednakowo nieważne i nieciekawe. Strzelić już w nogę lub w rękę, zranić go, a potem wyśmiać – i podobnie jak owad z urwaną nóżką gubi się w trawie, niech i on ze swym ćmiącym bólem zagubi się w tłumie ludzi równie przeciętnych jak on sam.

Łajewski poszedł do Szeszkowskiego, opowiedział mu wszystko i poprosił na sekundanta; później obaj udali się do naczelnika poczty, poprosili go również na sekundanta i zostali u niego na obiedzie. Podczas obiadu było dużo żartów i śmiechu. Łajewski podkpiwał, że zupełnie nie umie strzelać, nazywał siebie strzelcem królewskim i Wilhelmem Tellem.

– Temu panu trzeba dać dobrą nauczkę... – twierdził.

Po obiedzie zasiedli do kart. Łajewski grał, pił wino i myślał o tym, że pojedynek jest w ogóle rzeczą głupią i bez sensu, ponieważ nie rozstrzyga sprawy, ale ją tylko komplikuje, a mimo to czasami jest nieunikniony. Na przykład w danym wypadku: nie zaskarży przecież von Korena do sądu. A pojedynek jeszcze dlatego jest korzystny, że po nim już absolutnie nie będzie można zostać w mieście. Łajewski trochę zaproszył sobie głowę, zajął się kartami i na ogół czuł się dobrze.

Ale kiedy zaszło słońce i zapadły ciemności, ogarnął go niepokój. Nie był to strach przed śmiercią, ponieważ Łajewskiego, póki jadł obiad i grał w karty, nie wiedzieć czemu nie opuszczała pewność, że pojedynek skończy się na niczym; to był strach przed czymś nieznanym, co musi się stać nazajutrz po raz pierwszy w jego życiu, oraz strach przed zbliżającą się nocą... Wiedział, że noc będzie długa, bezsenna, że trzeba będzie myśleć nie tylko o von Korenie i jego nienawiści, ale i o całej górze kłamstwa, przez którą musi przejść, bo nie może i nie umie jej ominąć. Wydawało się, że Łajewski nagle zachorował; naraz przestały go interesować karty i rozmowy, zaczął wiercić się, w końcu przeprosił i poszedł do domu. Chciało mu się czym prędzej położyć do łóżka, nie ruszać się i przygotować do nocnych rozmyślań.

Szeszkowski i urzędnik pocztowy odprowadzili Łajewskiego i udali się do von Korena, żeby omówić warunki pojedynku.

Przed swoim domem Łajewski spostrzegł Aczmijanowa. Młody człowiek był zdyszany i wyraźnie podniecony.

– A ja pana szukam, Iwanie Andrieiczu! – zawołał. – Proszę pana, chodźmy prędzej...

– Dokąd?

– Jeden jegomość, którego pan nie zna, ma jakąś ważną sprawę... Bardzo prosi, żeby pan przyszedł na chwilkę. Musi z panem pomówić... Dla niego to kwestia życia i śmierci...

W zdenerwowaniu Aczmijanow powiedział to wszystko z wyraźnym akcentem ormiańskim.

– A kto to jest? – zapytał Łajewski.

– Prosił, żeby nie podawać nazwiska.

– Niech mu pan powie, że jestem zajęty. Jutro, jeśli łaska...

– To niemożliwe! – przeraził się Aczmijanow. – On chce panu powiedzieć coś ważnego... coś bardzo ważnego. Jeżeli pan nie pójdzie, to stanie się nieszczęście.

– Dziwne... – mruknął Łajewski nie rozumując, dlaczego Aczmijanow jest tak podniecony i jakie mogą być tajemnice w tej nudnej, nikomu niepotrzebnej mieścinie. – Dziwne – powtórzył i zamyślił się. – Zresztą, chodźmy. Wszystko jedno.

Aczmijanow szybko ruszył przodem, a Łajewski za nim. Szli ulicą, potem zaułkiem.

– Jakże to nudne – powiedział Łajewski

– Zaraz, zaraz... Już blisko.

Koło starego wału skręcił w wąski zaułek między dwoma ogrodzonymi pustymi placami, potem znaleźli się na jakimś wielkim podwórzu i stanęli przed małym domkiem...

– Czy to dom Miuridowa? – zapytał Łajewski.

– Tak.

– Nie rozumiem, czemu idziemy przez jakieś zakamarki? Można było ulicą. Tamtędy bliżej...

– Nie szkodzi, nie szkodzi.

Jeszcze bardziej zdziwiło Łajewskiego, że Aczmijanow prowadzi go przez kuchenne wejście i daje znak ręką, jakby uprzedzając, że należy iść po cichu, w zupełnym milczeniu.

– Tutaj, tutaj... – szepnął Aczmijanow, ostrożnie otwierając drzwi i wchodząc do sieni na palcach. – Ciszej, ciszej, proszę pana... Bo usłyszą...

Wszuchał się, odetchnął ciężko i szepnął:

– Niech pan otworzy te drzwi i wejdzie... Proszę się nie obawiać.

Zdumiony Łajewski otworzył drzwi i wszedł do pokoju z niskim sufitem, z zasłoniętymi oknami. Na stole paliła się świeca.

– Czego tam? – zapytał jakiś głos z sąsiedniego pokoju. – Czy to Miuridka?

Łajewski skręcił do tego pokoju i zobaczył Kirilina, a przy nim Nadieżdę Fiodorownę.

Nie dosłyszał, co mu powiedziano, cofnął się z powrotem i sam nie zauważył, jak znalazł się na ulicy. Nienawisć do von Korena, niepokój – wszystko gdzieś znikło. Idąc do domu, niezgrabnie wymachiwał prawą ręką i uważnie patrzył sobie pod nogi, żeby nie zejść z chodnika. U siebie w domu przeszedł się z kąta w kąt po gabinecie, niezdarnie poruszając ramionami i szyją, jakby go uciskała i marynarka, i koszula, potem zapalił świecę i usiadł przy biurku...

XVI

– Nauki humanistyczne, o których pan mówi, tylko wtedy sprostają potrzebom ludzkiej myśli, gdy w swoim rozwoju zespolą się z naukami ścisłymi i pójdą tą samą drogą. A czy to

zetknięcie nastąpi pod mikroskopem, czy w monologach nowego Hamleta, czy w nowej religii, tego nie wiem, lecz sądzę, że prędzej ziemia pokryje się skorupą lodową, niż to się stanie. Rzeczą najbardziej trwałą i żywotną w całej wiedzy humanistycznej jest oczywiście nauka Chrystusa, lecz zważ pan, jak nawet ona różnorodnie jest pojmowana. Jedni uczą, że powinniśmy kochać wszystkich naszych bliźnich, ale robią wyjątek dla żołnierzy, zbrodniarzy i wariatów: tych pierwszych pozwalają zabijać na wojnie, tych drugich – izolować lub skazywać na śmierć, a tym trzecim bronią zawierania małżeństw. Inni interpretatorzy każą kochać wszystkich bez wyjątku, nie uwzględniając żadnych plusów ni minusów. Ci głoszą, że jeśli do pana zwróci się suchotnik, morderca czy epileptyk i zażąda pańskiej córki za żonę, masz pan się zgodzić; jeśli kretyni wypowiedzą wojnę ludziom zdrowym umysłowo i fizycznie, nadstaw pan głowę. Gdyby ta nauka miłości dla miłości, jak sztuka dla sztuki miała dostateczną moc, doprowadziłaby w końcu ludzkość do kompletnej zagłady i w ten sposób popełniono by zbrodnię najpotworniejszą ze wszystkich, jakie działy się kiedykolwiek na ziemi. Interpretacji jest bardzo dużo, a skoro ich jest dużo, poważna myśl nie poprzestaje na żadnej i do wszystkich interpretacji dokłada jeszcze swoją własną. Dlatego niech pan nigdy nie stawia sprawy na płaszczyźnie, jak pan mówi, filozoficznej, czyli tak zwanej chrześcijańskiej; przez to pan się tylko oddala od rozstrzygnięcia.

Diakon uważnie wysłuchał zoologa, zastanowił się i zapytał:

– A prawo moralne, które każdemu człowiekowi jest właściwe, to filozofowie wymyślili czy też stworzył je Bóg razem z ciałem?

– Nie wiem, ale to prawo jest tak wspólne wszystkim narodom i epokom, że należy je chyba uznać za rzecz organicznie związaną z człowiekiem. Ono nie zostało wymyślone, ono jest i będzie. Nie twierdzę, że zobaczymy je kiedyś przez mikroskop, ale o jego organicznym związku z człowiekiem świadczą fakty: poważne schorzenia mózgu i tak zwane choroby psychiczne objawiają się, o ile wiem, przede wszystkim w wypaczeniu prawa moralnego.

– No dobrze. A więc podobnie jak żołądek domaga się jedzenia, tak instynkt moralny domaga się od nas miłości bliźniego. Czy tak? Ale natura nasza z przyrodzonego samolubstwa opiera się głosowi sumienia i rozumu, stąd wynika mnóstwo karkołomnych problemów. Dokąd więc mamy się udać po rozwiązanie tych problemów, skoro nie pozwala pan stawiać ich na płaszczyźnie filozoficznej?

– Udaj się pan do tych nielicznych wiadomości ścisłych, jakimi rozporządzamy. Zaufaj pan oczywistości i logice faktów. Co prawda, to niewiele, ale to nie jest tak chwiejne i mgliste jak filozofia. Prawo moralne, powiedzmy, żąda od nas miłości do ludzi. Cóż! Miłość powinna polegać na usuwaniu tego wszystkiego, co tak czy inaczej zagraża ludziom w chwili obecnej i na przyszłość. Nasza wiedza i oczywiste fakty stwierdziły, że bezpieczeństwu ludzkości zagrażają osobniki nienormalne fizycznie i duchowo. Skoro tak, to walczmy z nienormalnymi. Jeżeli nie jesteśmy w stanie podnieść ich do poziomu normy, to starczy nam chęci i siły, żeby ich unieszkodliwić czy unicestwić.

– A więc miłość polega na tym, że silny zwycięża słabego?

– Bez wątpienia.

– Ale przecież to silni ukrzyżowali Pana naszego Jezusa Chrystusa! – zawołał diakon żarliwie.

– W tym właśnie sęk, że nie ukrzyżowali go silni, lecz słabi. Kultura ludzka osłabiła już i wciąż usiłuje sprowadzić do zera walkę o byt i dobór naturalny; stąd szybkie rozmnożenie słabych i przewaga ich nad silnymi. Wyobraź sobie pan, że uda nam się nauczyć pszczoły idei humanizmu w jego nieudoskonalonej, rudymenarnej formie. Co z tego wyniknie? Trutnie, które należy niszczyć, zostaną przy życiu, zaczną pożerać miód, demoralizować i dusić pszczoły, a w rezultacie przewaga słabych nad silnymi, degeneracja silnych. To samo dzieje się obecnie z całą ludzkością: słabi gnębią silnych. U dzikusów, jeszcze nie tkniętych przez kulturę, najsilniejszy, najmądrzejszy, najbardziej etyczny osobnik wysuwa się na czoło; jest

wodzem i władcą. A myśmy z całą naszą kulturą ukrzyżowali Chrystusa i krzyżujemy nadal. To znaczy, że czegoś nam brak. I czy nie powinniśmy tego „czegoś” odbudować na nowo, bo w przeciwnym razie nie będzie kresu tym nieporozumieniom?

– Ale jakie ma pan kryteria dla odróżnienia silnych od słabych?

– Wiedzę i oczywiste fakty. Suchotników i skrofulików rozpoznaje się po objawach choroby, ludzi nieetycznych i wariatów po czynach.

– Ale przecież mogą zejść pomyłki!

– Owszem, lecz nie należy bać się zmożenia nóg, kiedy grozi potop.

– To filozofia – zaśmiał się diakon.

– Bynajmniej. Pan jest do tego stopnia otumaniony przez waszą seminaryjną filozofię, że we wszystkim widzi same mgły. Wiedza oderwana, którą pan nabił sobie młodą głowę, dlatego nazywa się oderwana, że odrywa umysł od faktów. Niech pan diabłu patrzy prosto w oczy, a skoro to diabeł, niech pan od razu mówi, że diabeł, a nie pcha się po wyjaśnienia do Kanta czy Hegla.

Zoolog umilkł na chwilę i znów podjął:

– Dwa razy dwa to cztery, a kamień to kamień. Jutro będziemy mieli pojedynek. My z panem twierdzimy, że to głupstwo i nonsens, że pojedynek już się przeżył, że arystokratyczny pojedynek w istocie niczym się nie różni od pijackiej bójki w karczmie, a jednak to nas nie powstrzyma, pojedziemy i będziemy się bili. Widocznie istnieje siła potężniejsza od naszych rozumowań. Wołamy, że wojna to rozbój, zgroza, barbarzyństwo, bratobójstwo, mdlejemy na widok krwi, ale nich nam tylko ubliżą Francuzi czy Niemcy, a natychmiast wpadniemy w uniesienie, najszczerzej w świecie zawołamy „hura” i rzucimy się na wroga, pan zacznie się modlić o błogosławieństwo dla naszego oręża i nasza waleczność wzbudzi powszechny i najszczerzy zachwyt. A więc znów to samo: jest siła jeśli nie wyższa, to potężniejsza niż my i nasza filozofia. Nie możemy jej powstrzymać, podobnie jak tej oto chmury, co sunie zza morza. Toteż bez hipokryzji, bez kiwania palcem w bucie, bez wołań: „Ach, głupie! Ach, przestarzałe! Ach, niezgodne z Pismem Świętym!”, spójrzmy tej sile prosto w oczy, uznajmy jej rozumną celowość i gdy ona na przykład zacznie niszczyć cherlawe, skrofuliczne, zdemoralizowane plemię, nie przeszkadzajmy jej naszymi pigułkami i cytatami z opacznie pojętej ewangelii. U Leskova litościwy Daniła znalazł za miastem trędowatego, nakarmił go, ogrzał w imię miłości, w imię Chrystusa. Gdyby ten Daniła istotnie kochał ludzi, odciągnąłby trędowatego jak najdalej od miasta i cisnął go do rowu, a sam poszedłby służyć zdrowym. Wydaje mi się, że Chrystus nakazał nam miłość rozumną, światłą i użyteczną.

– Toś pan taki? – zaśmiał się diakon. – Przecież nie wierzy pan w Chrystusa, więc po co wspomina pan o Nim tak często?

– Nie, ja wierzę. Tylko oczywiście po swojemu, nie na pańską modłę. Ach, diakonie, diakonie! – roześmiał się zoolog; objął diakona w pól i rzucił wesoło: – No cóż? Jedziemy jutro na pojedynek?

– Pojechałbym, ale nie mogę ze względu na mój stan.

– Jaki stan?

– Otrzymałem święcenia. Błogosławieństwo Boże spłynęło na mnie.

– Ach, diakonie, diakonie! – powtórzył von Koren śmiejąc się. – Jak ja lubię z panem rozmawiać!

– Pan powiada, że wierzy – zauważył diakon. – Co to za wiara? A ja, ot, mam wuja popa, ten tak wierzy, że gdy podczas suszy idzie na pole modlić się o deszcz, to zabiera ze sobą parasol i skórzany płaszcz, aby go w powrotnej drodze deszczyk nie zmoczył. To dopiero wiara! Kiedy wuj mówi o Chrystusie, to aż promienie z niego biją, a chłopci i baby szlochają na głos. On by i tę chmurę zatrzymał i wszelką siłę zmusił do ucieczki. Tak... Wiara góry przynosi.

Diakon roześmiał się i poklepał zoologa po ramieniu.

– Tak, tak... – ciągnął. – Pan wciąż poucza, bada głębinę mórz, rozróżnia słabych i silnych, pisze książki, wyzywa na pojedynki, i nic się przez to nie zmienia; a tu, uważa pan, jakiś wątlutki starzec, natchniony Duchem Świętym, wymamrocze tylko jedno słówko albo z Arabii przycwałuje na koniu nowy Mahomet z szablą i wszystko poleci do góry dnem, i w Europie nie zostanie kamień na kamieniu.

– To, diakonie, widłami na wodzie pisane!

– Wiara bez czynków martwa jest, a czyny bez wiary to jeszcze gorsze, to tylko strata czasu i nic więcej.

Na brzegu nagle ukazał się doktor. Zobaczył diakona i zoologa i podszedł do nich.

– Zdaje się, że wszystko gotowe – powiedział zdyszany. – Świadcami będą Goworowski i Bojko. Przyjadą rano o godzinie piątej. Co też tego nawaliło! – dodał, patrząc na niebo. – Nic nie widać. Zaraz będzie deszcz.

– Mam nadzieję, że pojedziesz z nami? – zapytał von Koren.

– Nie, Boże uchovej, dość się namordowałem. Zamiast mnie pojedzie Ustimowicz. Już się z nim umówiłem.

Daleko nad morzem zaśniła błyskawica, rozległ się przytłumiony grzmot.

– Jak duszno przed burzą! – powiedział von Koren. – Daję głowę, żeś już był u Łajewskiego i szlochał na jego piersi.

– Po co miałbym do niego chodzić – odparł Samojlenko wyraźnie zmieszany. – Też pomysł!

Przed zachodem słońca doktor rzeczywiście przeszedł się kilkakrotnie po bulwarze i ulicy w nadziei, że spotka Łajewskiego. Wstydił się swego wybuchu i nagłego porywu czułości bezpośrednio potem. Chciał przeprosić Łajewskiego w żartobliwy sposób, zbesztać go, uspokoić i wytłumaczyć, że pojedynek jest wprawdzie pozostałością po średniowiecznym barbarzyństwie, ale że sama opatrność wskazuje im ten pojedynek jako krok do zgody: jutro oni obaj – ludzie zacni, o niepospolitym umyśle – wymienią ze sobą strzały, przekonają się nawzajem o swych szlachetnych uczuciach i zostaną przyjaciółmi. Niestety, nie udało mu się spotkać Łajewskiego.

– Po co miałbym do niego chodzić? – powtórzył Samojlenko. – Nie ja jego obraziłem, tylko on mnie. Powiedz z łaski swojej, za co on się na mnie rzucił? Co ja mu złego zrobiłem? Wchodzę do salonu i nagle ni w pięć, ni w dziewięć: szpieg! Masz ci los! Powiedz, od czego się to zaczęło? Coś ty mu powiedział?

– Powiedziałem, że jest w sytuacji bez wyjścia. I miałem rację. Tylko ludzie uczciwi albo szubrawcy umieją znaleźć wyjście z każdej sytuacji, ale ten, kto chce być i człowiekiem uczciwym, i równocześnie szubrawcem, wyjścia nie znajdzie. Panowie, już jedenasta, a jutro musimy wcześniej wstać.

Nagle nadleciał wiatr, wzbil na brzegu słup kurzu, zakreślił nim jak biczem, zawył i zagłuszył szum morza.

– Szkwał – odezwał się diakon. – Trzeba iść, bo oczy zaprószyło.

Kiedy szli z powrotem, Samojlenko westchnął i powiedział przytrzymując czapkę:

– Chyba wcale nie będę dzisiaj spał.

– A ty się nie denerwuj – roześmiał się zoolog. – Możesz być spokojny, pojedynek skończy się na niczym. Łajewski wspaniałomyślnie wystrzelił w powietrze, bo inaczej mu nie wypada, a ja prawdopodobnie w ogóle nie będę strzelał. Dostać się pod sąd przez Łajewskiego, tracić czas – to gra nie warta świecy. Nawiasem mówiąc, jaka kara grozi za pojedynek?

– Areszt, a w razie śmierci przeciwnika zamkniecie w twierdzy do trzech lat.

– W Pietropawłowskiej?

– Nie, chyba w wojskowej.

– A jednak należałoby dać temu zuchowi nauczkę.

Nad morzem mignęła błyskawica i na krótką chwilę oświetliła góry i dachy domów. Przy bulwarze przyjaciele rozeszli się. Kiedy doktor znikł w ciemnościach i jego kroki zaczęły się oddalać, von Koren zawołał:

- Żeby nam jutro tylko pogoda nie przeszkodziła!
- To możliwe. Dałby Bóg!
- Dobranoc!
- Jaka noc? Co mówisz?

Przez szum wiatru i morza, przez odgłosy piorunów nie słyszało się prawie ani słowa.

- Nic – krzyknął zoolog i pospieszył do domu.

XVII

Mary wrą w myśli, którą tęsknota przytłacza,
I trosk oblegają roje;
Wtenczas i Przypomnienie w milczeniu roztacza
Przedemną swe długie zwoje.
Ze wstrętem i z przestachem czytam własne dzieje,
Sam na siebie pomsty wzywam
I serdecznie żałuję, i gorzkie łzy leję,
Lecz smutnych rysów nie zmywam.*

Czy jutro rano go zabiją, czy wystawią na pośmiewisko, to znaczy darują mu życie, on i tak jest zgubiony. Czy ta zhańbiona kobieta popełni samobójstwo z rozpacz i wstydu, czy dalej będzie ciągnąć swój nędzny żywot, ona i tak jest zgubiona...

Z takimi myślami bił się Łajewski siedząc późnym wieczorem przy biurku i wciąż zacierał ręce. Okno nagle roztworzyło się i trzasnęło, do pokoju wpadł gwałtowny wiatr, z biurka sfrunęły papiery. Łajewski zamknął okno i schylił się, żeby zebrać papiery z podłogi. Miał jakieś dziwne uczucie w całym ciele, jakieś skrępowanie, którego nie było poprzednio, sam nie poznawał swoich ruchów, chodził nieśmiało, rozstawiając łokcie i nerwowo poruszając ramionami, a kiedy usiadł przy biurku, zaczął znów zacierać ręce. Jego ciało raptem straciło giętkość.

W przededniu śmierci zazwyczaj pisze się do ludzi najbliższych. Łajewski o tym pamiętał. Wziął pióro i napisał drżącą ręką:

„Mateczko!”

Chciał ubłagać matkę, żeby w imię miłosiernego Boga, w którego wierzy, dała schronienie i okazała serce nieszczęśliwej, zhańbionej przez niego kobiecie, samotnej, ubogiej i słabej, żeby wszystko, wszystko wybaczyła i zapomniała, żeby za cenę tej ofiary choć częściowo odkupiła ciężki grzech syna; ale przypomniało mu się, jak jego matka, tęga, masywna stara pani w koronkowym czepku wychodzi rano do ogrodu, a za nią sunie rezydentka z bolończykiem, jak matka krzyczy rozkazującym głosem na ogrodnika, na służbę, jaką dumną i wyniosłą ma twarz – przypomniało mu się to wszystko, więc przekreślił napisane słowo.

W trzech oknach pokoju mignęło jaskrawe światło błyskawicy i prawie natychmiast huknął ogłuszający długi grzmot, najprzód stłumiony, potem donośny, pełen trzasków, a tak silny, że szyby okienne zadzwoniły. Łajewski wstał, podszedł do okna i przywarł czołem do szyby. Na dworze srożyła się wielka, piękna burza. Białe wstęgi błyskawic na horyzoncie bez przerwy spadały z chmur do morza i oświetlały ogromną przestrzeń spiętrzonych czarnych

* A. Puszkina: *Wspomnienie* (przekład A. Mickiewicza)

fal. Na prawo, na lewo, prawdopodobnie również i nad domem – wszędzie zapalały się błyskawice.

– Burza! – wyszeptał Łajewski; miał ochotę modlić się do kogokolwiek, do czego bądź, choćby nawet do błyskawic i chmur. – Najmilsza burzo!

Przypomniało mu się, jak w dzieciństwie podczas burzy wybiegał z gołą głową do ogrodu, a za nim pędziły pod deszczem dwie białowłose dziewczynki z niebieskimi oczami; wszyscy troje śmieli się z zachwytu, ale kiedy huczał piorun, dziewczynki ufnie tuliły się do chłopca, a on żegnał się i zaczynał szeptać: „Święty Boże, Święty Mocny...” O, początki czystego, pięknego życia, gdzieście odeszły, w jakim morzu utonęłyście? On już nie boi się burzy, nie kocha przyrody, nie wierzy w Boga, wszystkie ufnie dziewczynki, które znał kiedykolwiek, już są zgubione czy to przez niego, czy przez jego rówieśników, w rodzinnym dworze nie wyhodował przez całe życie ani jednego drzewka, ani źdźbła trawy, a żyjąc z żywymi nie poratował nawet muchy, tylko niszczył, psuł i kłamał, kłamał...

„Co nie było grzechem i zepsuciem, w mojej przeszłości?” – pytał sam siebie, starając się uczeplić jakiego bądź jaśniejszego wspomnienia, jak spadający do przepaści czepia się krzaków.

Gimnazjum? Uniwersytet? To przecież oszustwo. Uczył się źle i zapomniał wszystko, czego usiłowano go nauczyć. Służba społeczeństwu? To też oszustwo, bo on w ogóle nic nie robił, pensję brał za darmo, a jego posada to nikczemne okradanie skarbu, za które nie wsadzają do więzienia.

Prawda nie była mu potrzebna, on jej nie szukał, jego sumienie, omamione przez grzech i kłamstwo, nie odzywało się, spało; on jak obcy, jak ściągnięty z innej planety nie brał udziału w życiu ludzi, żył obojętny dla ich cierpień, idei, religii, wiedzy, poszukiwań walk, nie powiedział ludziom ani jednego dobrego słowa, nie napisał ani jednego pożytecznego, niebanalnego zdania, w ogóle palcem dla ludzi nie kiwnął, tylko jadł ich chleb, pił ich wino, uwodził ich żony, korzystał z ich myśli i żeby usprawiedliwić wobec nich i samego siebie swoją nędzną, pasożytniczą egzystencję, wciąż starał się udawać, że jest lepszy i wyższy ponad wszystko. Kłamstwo, kłamstwo i jeszcze raz kłamstwo...

Przypomniało mu się nader wyraźnie to, co widział dziś wieczorem w domu Miuridowa, i aż się wzdrygnął z obrzydzenia i rozpacz. Kirilin i Aczmijanow są ohydni, ale przecież oni tylko kontynuują to, co zaczął on, to jego współwinowajcy, uczniowie. Młodą, słabą kobietę, która ufała mu więcej niż bratu, pozbawił męża, grona przyjaciół, ojczystych stron i skazał na ten upalny klimat, na nudę, na malarię; w niej jak w lustrze dzień po dniu odbijało się jego próżniactwo, zepsucie, fałsz – i tylko to miało wypełnić jej życie gnuśne, nędzne, żałosne; potem się nią przesycił, znienawidził ją, ale nie starczyło mu odwagi na zerwanie, starał się więc oplatać ją kłamstwem jak pajęczyną... Reszty dokonali ci ludzie!

Łajewski to siadał przy biurku, to podchodził do okna; to gasił świecę, to znów ją zapalał. Głośno przeklinał sam siebie, płakał, żalił się, prosił o przebaczenie; kilka razy podbiegał w rozpacz do biurka i pisał: „Mateczko!”

Poza matką Łajewski nie miał żadnej rodziny, żadnej bliskiej duszy; ale w jaki sposób mogła mu pomóc matka? I gdzie ona? Chciał biec do Nadzieży, paść do jej stóp, całować jej ręce i nogi, błagać o przebaczenie, ale przecież była jego ofiarą, bał się jej jak zmarłej.

– Stracone życie! – szeptał zacierając ręce. – Po cóż ja jeszcze żyję, o Boże!

Sam stracił z nieba swoją zamgloną gwiazdę, już zgasła i ślad jej zatonał w nocnym mroku; ona nigdy nie wróci na niebo, bo żyje się tylko raz i nic się nie powtarza. Gdyby można było odzyskać minione dni i lata, zastąpiłby kłamstwo prawdą, próżniactwo pracą, nudę radością, przywróciłby czystość tym, którym ją odebrał, odnalazłby sprawiedliwość i Boga, ale to jest równie niemożliwe, jak zapalenie na niebie zagastej gwiazdy. I dlatego że to było niemożliwe, ogarniała go rozpacz.

Kiedy burza minęła, Łajewski siedział przy otwartym oknie i spokojnie myślał o tym, co się z nim stanie. Von Koren prawdopodobnie zabije go. Zimny, sprecyzowany światopogląd tego człowieka zezwala na usuwanie osobników słabych i niezdatnych; gdyby nawet w stanowiącej chwili światopogląd zawiódł, nienawiść i uczucie wstrętu, jakie budzi w von Korenie Łajewski, zrobią swoje. A jeśli zoolog spudłuje albo, chcąc zakpić ze znienawidzonego przeciwnika, tylko zrani go czy strzeli w powietrze, co robić wówczas? Dokąd iść?

„Wyjechać do Petersburga? – myślał Łajewski. – Ale to oznaczałoby powrót do dawnego życia, które przeklinam. A kto szuka ratunku w zmianie miejsca jak przelotny ptak, ten nic nie znajdzie, bo świat dla niego jest wszędzie jednakowy. Szukać ratunku u ludzi? U kogo i jak? Dobroć i wspaniałomyślność Samojlenki tak samo nie poratują jak chichoty diakona czy nienawiść von Korena. Trzeba szukać ratunku tylko w sobie samym, a jeżeli się nie znajdzie, to po co marnować czas, lepiej się zabić i kwita...”

Rozległ się turkot powozu. Już świtało. Powóz przejechał dalej, zawrócił i zgrzytając kołami po mokrym piasku zatrzymał się przed domem. W powozie siedziało dwóch mężczyzn.

– Zaczekajcie, ja zaraz! – powiedział przez okno Łajewski. – Ja nie śpię. Czy już czas?

– Tak. Czwarta godzina. Zanim dojedziemy...

Łajewski włożył płaszcz i czapkę, schował do kieszeni papierosy i na chwilę przystanął w zadumie; zdawało mu się, że coś jeszcze powinien zrobić. Z ulicy dobiegała cicha rozmowa sekundantów, parskanie koni, a te odgłosy o wczesnym mglistym poranku, kiedy wszyscy śpią i na niebie ledwo się rozwidnia, obudziły w duszy Łajewskiego smutek, przypominający złe przeczucia. Chwilę stał zamyślony, potem wszedł do sypialni.

Nadziezda leżała w łóżku wyciągnąwszy się, owinięta w pled po czubek głowy; nie poruszała się i jej postać, zwłaszcza głowa, przywodziła na myśl mumie egipskie. Patrząc na nią bez słowa, Łajewski w duchu prosił ją o przebaczenie i myślał, że jeśli niebo nie jest puste i tam istotnie króluje Bóg, to On ją uchroni, a jeżeli Boga nie ma, to niech ona zginie, bo po co ma żyć?

Nadziezda nagle poderwała się i usiadła w łóżku. Podniósłszy do góry swoją bladą twarz i patrząc na Łajewskiego z przerażeniem, zapytała:

– To ty? Burza minęła?

– Tak.

Przypomniała sobie wszystko, ścisnęła głowę rękoma i cała zatrzęsała się.

– Jak mi ciężko! – wyrzekła. – Gdybyś wiedział, jak mi ciężko! Spodziewałam się – mówiła mrużąc oczy – że mnie zabijesz albo wypędzisz z domu na burzę i deszcz, a ty zwlekasz... zwlekasz...

Uścisnął ją gwałtownie i mocno, okrył pocałunkami jej kolana i ręce, a potem, gdy coś mówiła rozdygotana od wspomnień, przyglądał jej włosy i wpatrując się w twarz nagle zrozumiał, że ta nieszczęśliwa, grzeszna kobieta jest dla niego jedynym bliskim, drogim i niezastąpionym człowiekiem.

Kiedy po wyjściu z domu wsiadał do powozu, już pragnął wrócić żywy.

XVIII

Diakon wstał, ubrał się, wziął gruby sękaty kij i cichcem wyszedł z domu. Było ciemno i diakon w pierwszej chwili, gdy ruszył ulicą, nie mógł dojrzeć nawet swojego białego kija; na niebie nie było ani jednej gwiazdy i znów zanosilo się na deszcz. Pachniało morzem i mokrym piaskiem.

„Oby tylko Czeczeńcy nie napadli” – myślał diakon słysząc, jak kij stuka o bruk i jak donośnie rozlega się w nocnej ciszy ten samotny stukot.

Wydostawszy się za miasto, widział już i drogę, i swój kij; na czarnym niebie wystąpiły gdzieś mętne plamy, a wkrótce wyjrzała jedna gwiazda i nieśmiało mrugnęła jednym okiem. Diakon szedł po wysokim kamienistym brzegu i nie widział morza; uspokojone zasy-piało na dole, a niewidzialne fale leniwie i ciężko uderzały o brzeg niby z westchnieniem: uff! I jak wolno! Uderzyła jedna fala i diakon naliczył osiem kroków, gdy uderzyła druga, a po następnych sześciu krokach trzecia. I tu również nic nie było widać, z ciemności dobiegał leniwy, senny szum morza, odległy jak ów czas nie do objęcia myślą, kiedy jeszcze Bóg unosił się nad chaosem.

Diakon poczuł się dość nieswojo. Pomyślał, że może go spotkać kara boska, ponieważ przestaje z niewierzącymi i nawet idzie na ich pojedynek. Co prawda, pojedynek będzie błahy, śmieszny, bez rozlewu krwi, ale jakkolwiek by był, zawsze pozostanie widowiskiem po-gańskim, czyli że obecność osoby duchownej jest tu zupełnie niewskazana. Zawahał się: może wrócić? Lecz mocna, pełna niepokoju ciekawość zagórowała nad wątpliwościami, poszedł więc dalej.

„Oni, choć niewierzący, są właściwie dobrymi ludźmi i dostąpią zbawienia” Diakonowi przypomniał się jego wróg, inspektor seminarium duchownego, który i w Boga wierzył, i nie pojedynkował się, i żył w cnocie, ale kiedyś w ubiegłych latach żywił diakona chlebem zmieszonym z piaskiem, a pewnego razu omal nie oberwał mu uszu. Skoro życie układa się tak niemądrze, że tego okrutnego i nieuczciwego inspektora, który kradł rządową mąkę, szanowali wszyscy, a w seminarium modlono się o jego zdrowie i zbawienie, to czy należy unikać von Korena i Łajewskiego dlatego tylko, że są niewierzący? Diakon zaczął zastanawiać się nad tym pytaniem, ale raptem przypomniało mu się, jak komicznie wyglądał dziś Samojlenko, i to przerwało bieg jego myśli. Ileż to będzie śmiechu jutro! Diakon już widział w duchu, jak zasiądzie pod krzakiem i będzie podglądał, a gdy jutro przy obiedzie von Koren zacznie się przechwalać, on, diakon, opowie mu ze śmiechem o wszystkich szczegółach pojedynku.

„Skąd pan wie?” – zapyta zoolog. – „Otóż to. Siedziałem w domu, a wiem”.

Warto by opisać pojedynek ze strony komicznej. Teś będzie czytał i śmiał się; ten jest po prostu w siódmym niebie, kiedy mu się opowiada lub opisuje coś śmiesznego.

Odśloniła się dolina Żółtej Rzeczki. Od deszczu rzeczka zrobiła się szersza i bardziej roz-eżlona – już nie gderała jak poprzednio, ale ryczała. Zaczęło świtać. Szary, mętny poranek i obłoki biegnące na zachód w pogoni za burzowymi chmurami i przesłonięte mgłą góry, i mokre drzewa – wszystko wydało się diakonowi brzydkie i zagniewane. Umył się w strumieniu, odmówił modlitwy poranne i nagle zachciało mu się herbaty i gorących placków ze śmietaną, jakie dają na śniadanie u teścia. Przypomniała mu się diakonica i „Bezpowrotne chwile”, które nieraz grała na fortepianie. Co to za kobieta? Diakona poznawano z inną, zeswatano i ożeniono w ciągu jednego tygodnia; żył z żoną niespełna miesiąc i zaraz został skierowany tutaj, więc nawet nie rozeznał się, co to za człowiek. A jednak trochę mu bez niej tęskno.

„Trzeba do niej napisać liścik...” – pomyślał.

Flaga nad duchanem przemokła na deszczu i obwisła, a sam duchan wydawał się niższy i ciemniejszy niż zwykle. Przed drzwiami stał dwukołowy wóz; Kierbałaj, jacyś dwaj Abchaz-czycy i młoda Tatarka w szarawarach, prawdopodobnie żona lub córka Kierbałaja, wynosili z duchanu naładowane worki i kładli je w wozie na kukurydzianej słomie. Obok stała para osłów ze zwieszonymi głowami. Załadowawszy worki, Tatarka i Abchazczycy pookrywali je z wierzchu słomą, a Kierbałaj zaczął pospiesznie zaprzęgać osły.

„Na pewno kontrabanda” – pomyślał diakon.

Oto zwalone drzewo z wyschniętymi igłami, oto czarny ślad po ognisku. Diakonowi przy-pomniały się wszystkie szczegóły wycieczki, ogień, śpiew Abchazczyków, słodkie marzenia o archiriejstwie i procesji... Czarna rzeczka od deszczu zrobiła się czarniejsza i szersza. Dia-kon ostrożnie przeszedł przez wąty mostek, do którego już sięgały grzebienie brudnych fal, i wspiął się po drabince do suszarni.

„Tęga głowa! – pomyślał wyciągnawszy się na słomie i wspominając von Korena. – Dobra głowa, daj Boże zdrowie. Ale okrucieństwo w nim jest...”

Za co zoolog nienawidzi Łajewskiego, a ten zoologa? O co będą się pojedynkować? Gdyby obaj zaznali od dzieciństwa takiej nędzy jak diakon, gdyby się wychowali wśród ludzi ciemnych i oschłego serca, chciwych zysku, którzy wymawiają rodzinie każdy kęs chleba, są nieokrzesani i ordynarni w obejściu, plują na podłogę i czkają przy obiedzie czy podczas modlitwy, gdyby obaj od dzieciństwa nie byli zepsuci przez dobre warunki i lepsze otoczenie, jak przyłgnęliby do siebie, jak chętnie wybaczyliby sobie nawzajem wszelkie wady i ocenili to, co tkwi w każdym z nich. Przecież tak mało na świecie nawet pozornie przyzwoitych ludzi! Owszem, Łajewski jest zwariowany, rozpieszczony, dziwny, ale on przecież nie ukradnie, nie splunie głośno na podłogę, nie zacznie wymawiać żonie: „Zresz, a pracować nie chcesz”, nie będzie bić dziecka lejcami albo karmić służby cuchnącą peklowiną – czyż to nie wystarczy, żeby pobłażliwie traktować jego wady? I przecież od tych wad on sam cierpi najwięcej, cierpi, jak chory od ran. Zamiast doszukiwać się w swoich bliźnich degeneracji, wymierania, dziedziczności i tym podobnych rzeczy – a wszystko z nudów czy przez jakieś nieporozumienie – czy nie lepiej byłoby zejść niżej i skierować całą nienawiść i gniew tam, gdzie całe ulice jęczą od straszliwej ciemnoty, chciwości, docinków, brudu, przekleństw, babskich wrzasków...

Turkot kół przerwał ten bieg myśli. Diakon wyjrzał przez drzwi i zobaczył powóz, a w nim trzy osoby: Łajewskiego, Szeszkowskiego i naczelnika poczty.

– Stop! – powiedział Szeszkowski.

Wszyscy trzej wysiedli z powozu i spojrzeli po sobie.

– Jeszcze ich nie ma – stwierdził Szeszkowski otrzepując się z błota. – Cóż! Chodźmy tymczasem poszukać dobrego miejsca. Tutaj nie ma się gdzie ruszyć.

Poszli dalej w górę rzeki i wkrótce znikli z oczu. Woźnica Tatar siadł do powozu, zwiesił głowę na ramię i zasnął. Odczekawszy z dziesięć minut diakon wy dostał się z suszarni, zdjął swój czarny kapelusz, żeby nie ściągnąć na siebie uwagi, i to kucając, to rozglądając się, po brnął brzegiem rzeki między krzakami i zagonami kukurydzy; z drzew i z krzaków leciały mu na głowę wielkie krople, trawa i kukurydza były mokre.

– Co za wstyd! – mamrotał podciągając zmoczone brudne poły. – Gdybym wiedział, to bym nie poszedł.

Wkrótce usłyszał głosy i zobaczył ludzi. Łajewski, przygarbiony, z dłońmi wsuniętymi w rękawy, szybkim krokiem chodził tam i z powrotem po niewielkiej polance; jego świadkowie stali nad samym brzegiem i skręcali sobie papierosy.

„Dziwna rzecz... – myślał diakon, wprost nie poznając chodu Łajewskiego. – Zupełny starzec”.

– Jak to niegrzecznie z ich strony! – powiedział urzędnik pocztowy spoglądając na zegarek. – Może ludzie wykształceni uważają, że należy się spóźniać, ale ja uważam, że to świństwo.

Szeszkowski, otyły mężczyzna z czarną brodą, wsłuchał się i oznajmił:

– Jadą!

XIX

– Pierwszy raz w życiu widzę coś podobnego! Jak pięknie! – powiedział von Koren, wychodząc na polanę i wyciągając obie ręce ku wschodowi. – Patrzcie: zielone promienie!

Na wschodzie zza gór wyłoniły się dwa zielone promienie i to istotnie było piękne. Wschodziło słońce.

– Dzień dobry! – ciągnął zoolog skinąwszy głową sekundantom Łajewskiego. – Czy nie spóźniłem się?

Za nim szli jego sekundanci, Bojko i Goworowski, dwóch bardzo młodych oficerów, jednakowego wzrostu, w białych mundurach, i mizerny odludek, doktor Ustimowicz, który jedną ręką dźwigał jakiś tobolek, a drugą założył do tyłu; laskę trzymał jak zwykle wzdłuż pleców. Ulokowawszy tobolek na ziemi i nie witając się z nikim, drugą rękę również założył do tyłu i zaczął maszerować po polanie.

Łajewski był zmęczony i czuł się dość niezręcznie w sytuacji człowieka, który niebawem może umrzeć i dlatego ściąga na siebie powszechną uwagę. Chciałby, żeby go albo prędzej zabili, albo odwieźli do domu. Po raz pierwszy w życiu widział wschód słońca; ten wczesny ranek, zielone promienie, wilgoć i ludzie w mokrych butach wydali mu się zbędni, niepotrzebni i krępujący; to wszystko nie miało najmniejszego związku z przeżyta nocą, z ciężkimi myślami, poczuciem winy, dlatego więc chętnie by stąd odszedł, nie doczekawszy się pojedynku.

Von Koren był wyraźnie podniecony i starając się to ukryć udawał, że go najwięcej interesują zielone promienie. Sekundanci byli zmieszani i zerkali ku sobie, jakby pytając, po co znaleźli się tutaj i co mają robić.

– Sądzę, proszę panów, że można nie iść dalej – powiedział Szeszkowski. – Tu jest dobrze.

– Tak, oczywiście – przytaknął von Koren.

Zapadło milczenie. Wtem maszerujący bez przerwy Ustimowicz gwałtownie skręcił w kierunku Łajewskiego i rzekł półgłosem, dysząc mu prosto w twarz.

– Może pana jeszcze nie poinformowano o moich warunkach? Każda strona płaci po piętnaście rubli, a w razie śmierci jednego z przeciwników ten, co ocaleje, płaci całe trzydzieści.

Łajewski znał już poprzednio tego człowieka, ale teraz dopiero po raz pierwszy zobaczył jego mętne oczy, szorstkie wąsy i chudą, suchotniczą szyję: lichwiarz, a nie lekarz! I ten oddech nieprzyjemnie zalatujący wołowiną...

„Jacy to też ludzie bywają na tym świecie” – pomyślał Łajewski i odpowiedział:

– Dobrze.

Lekarz skinął mu głową i znów pomaszerował; widać było, że pieniądze wcale mu nie są potrzebne, a domaga się ich po prostu z nienawiści. Wszyscy czuli, że czas zacząć lub skończyć to, co zostało zaczęte, ale nie zaczęli i nie kończyli, tylko stali, chodzili, palili papierosy. Młodzi oficerowie, którzy po raz pierwszy w życiu uczestniczyli w sprawie honorowej, a traktowali ten niepotrzebny, „cywilny” ich zdaniem pojedynek niezbyt serio, uważnie oglądali swoje białe kitle i wyglądali rękawy. Szeszkowski podszedł do nich i powiedział półgłosem:

– Panowie, musimy uczynić wszystko, żeby ten pojedynek nie odbył się. Trzeba ich pogodzić.

Zaczerwienił się i dodał:

– Wczoraj był u mnie Kirilin, żalił się, że Łajewski przyłapał go z Nadieżdą Fiodorowną, i różne takie rzeczy.

– Owszem, my też o tym wiemy – odparł Bojko.

– No więc... Łajewskiemu ręce się trzęsą i różne takie rzeczy... On nawet pistoletu teraz nie utrzyma. Bić się z nim byłoby tak samo nieludzko, jak bić się z pijanym czy chorym na tyfus. Jeżeli nie doprowadzimy do zgody, to postarajmy się chociaż odroczyć ten pojedynek czy co... Takie zawracanie głowy, że aż przykro patrzeć.

– Niech pan pomówi z von Korenem.

– Nie znam przepisów pojedynku, do wszystkich diabłów, i nie chcę znać; a nuż von Koren pomyśli, że Łajewski stchórzył i posłał mnie do niego. Zresztą, jak on sobie chce, a ja mu powiem.

Szeszkowski niepewnym krokiem, lekko utykając, jakby mu noga ścierpła, skierował się w stronę von Korena, a gdy tak szedł i pochrząkiwał, od całej jego postaci lenistwo aż biło.

– Chcę panu coś powiedzieć, szanowny panie – zaczął, uważnie oglądając Kwiatki na koszuli zoologa. – To ściśle poufne... Nie znam przepisów pojedynku, niech je diabli, i nie chcę znać, a rozumiem nie jako sekundant i różne takie rzeczy, ale jako człowiek i tak dalej...

– Dobrze. Więc?

– Kiedy sekundanci nawołują do zgody, zazwyczaj nikt ich nie słucha, bo to niby formalność. Ambicja i tak dalej. Ale ja pana uprzejmie proszę o zwrócenie uwagi na stan Iwana Andrieicza. On dzisiaj jest wytrącony z równowagi, trochę, że tak powiem, nieprzytomny i zasługuje na litość. Spotkało go nieszczęście. Nie cierpię plotek – Szeszkowski poczerwieniał i obejrzał się – ale ze względu na pojedynek uważam za stosowne poinformować pana... wczoraj wieczorem Łajewski zastał swoją damę w domu Miuridowa z... pewnym panem.

– Co za ohyda! – mruknął zoolog, pobladł, skrzywił się i głośno splunął. – Tfu!

Dolna warga zaczęła mu drżeć; odszedł do Szeszkowskiego nie chcąc słuchać dalej i znów, jakby coś gorzkiego dostało mu się do ust, splunął głośno, a na Łajewskiego spojrzął z nienawiścią – po raz pierwszy tego ranka. Podniecenie i uczucie skrepowania minęły bez śladu; potrząsnął głową i rzekł donośnie:

– Proszę panów, na co my właściwie czekamy? Czy nie czas zacząć?

Szeszkowski spojrzął ku oficerom i wzruszył ramionami.

– Panowie! – powiedział głośno, nie zwracając się do nikogo z obecnych. – Panowie! Proponujemy, żebyście się pogodzili!

– Skończmy prędzej z tymi formalnościami – powiedział von Koren. – Już była mowa o pojednaniu. Teraz jaka jeszcze formalność? Szybciej, panowie, bo czas ucieka.

– Ale my jednak obstajemy przy pojednaniu – powiedział Szeszkowski przepaszającym tonem, jak człowiek, który jest zmuszony do wtrącenia się w cudze sprawy; zaczerwienił się, położył rękę na sercu i oświadczył: – Panowie, my nie widzimy związku przyczynowego między zniewagą a pojedykiem. Zniewaga, której nieraz się dopuszczamy ze względu na ułomność naszej natury, a pojedynek nic nie mają ze sobą wspólnego. Wy, panowie, jako ludzie kulturalni, z wyższym wykształceniem, niewątpliwie sami uważacie pojedynek za przestarzałą, czczą formalność i różne takie rzeczy. My przynajmniej tak się na niego zapatrujemy, inaczej byśmy tu nie przyjechali, ponieważ nie możemy dopuścić, żeby w naszej obecności ludzie strzelali do siebie i tak dalej. – Szeszkowski otarł twarz z potu i zakończył: – Dość już tych nieporozumień, panowie, podajcie sobie ręce i jedźmy wszyscy oblewać pojednanie. Daję słowo, panowie!

Von Koren milczał. Łajewski, widząc, że wszyscy na niego patrzą, przemówił:

– Nie mam żadnej pretensji do Nikołaja Wasiljewicza. Jeżeli on sądzi, że wina leży po mojej stronie, jestem gotów go przeprosić.

Von Koren obraził się.

– Widocznie, proszę panów – oznajmił – chcecie, żeby pan Łajewski wrócił do domu jako wspaniałomyślny rycerz, ale ja, niestety, ani jemu, ani panom nie mogę sprawić tej przyjemności. Po co było wstawać wcześniej i jechać taki szmat drogi, jeżeli wszystko ma się skończyć oblewaniem zgody, przekąską i tłumaczeniami, że pojedynek to tylko przestarzała formalność. Pojedynek jest pojedykiem i nie należy robić z niego sprawy głępszej i bardziej zakłamanej, niż jest istotnie. Ja osobiście chcę się bić.

Zapadło milczenie. Oficer Bojko wyjął ze skrzynki dwa pistolety; jeden wręczono von Korenowi, drugi Łajewskiemu, i tu nastąpiło zamieszanie, które na krótką chwilę ubawiło zoologa i sekundantów. Okazało się bowiem, że nikt z obecnych nigdy w życiu nie był przy pojedynku i nie wiedział dokładnie, jak należy się ustawić i co mają robić sekundanci. Wreszcie Bojko przypomniał sobie i uśmiechając się zaczął tłumaczyć.

– Panowie, kto pamięta ten opis u Lermontowa? – zawołał ze śmiechem von Koren. – U Trugieniewa Bazarow też z kimś tam się bije...

– Co to ma do rzeczy? – przerwał mu niecierpliwie Ustimowicz zatrzymując się. – Wymierzyć odległość i cała parada.

I przeszedł kilka kroków, niby pokazując, jak się wymierza. Bojko odliczył kroki, jego kolega wyciągnął szablę i drasnął ziemię w dwóch odległych punktach dla oznaczenia bariery.

Przeciwnicy w zupełnej ciszy stanęli na swoich miejscach.

„Krety” – przypomniał sobie diakon siedzący w krzakach.

Szeszkowski znów coś mówił, Bojko znów coś tłumaczył, ale Łajewski nic nie słyszał, a raczej słyszał i nie rozumiał. Gdy nadeszła odpowiednia chwila, odwiódł kurek i podniósł ciężki, zimny pistolet lufą do góry. Ponieważ nie rozpiął płaszcza, uwierało go w ramieniu i pod pachą, a ręka podniosła się tak niezdarnie, jakby rękaw był uszyty z blachy. Łajewskiemu przypomniało się, jaką nienawiść wzbudziły w nim wczoraj kędzierzawe włosy i śniade czoło, pomyślał jednak, że nawet wczoraj, nawet w porywie zacieklej nienawiści i gniewu nie wystrzeliliby do człowieka. W obawie, żeby kula nie trafiła przypadkiem von Korena, podnosił pistolet coraz wyżej i czuł, że ta zbyt ostentacyjna wspaniałomyślność jest nietaktowna i niewspaniałomyślna, ale inaczej nie mógł, nie umiał. Patrząc na bladą, drwiąco uśmiechniętą twarz von Korena, który widocznie był przekonany od początku, że przeciwnik odda strzał w powietrze, Łajewski myślał, że zaraz, dzięki Bogu, wszystko się skończy, że tylko trzeba mocniej pociągnąć za cyngiel.

Wystrzał gwałtownie szarpnął ramieniem, rozległ się huk, w górach odezwało się echo: pach-tach!

Wówczas von Koren odwiódł kurek i spojrzał w stronę Ustimowicza, który maszerował bez przerwy, założywszy ręce do tyłu i nie zwracając uwagi na nikogo.

– Panie doktorze – powiedział zoolog – niech pan z łaski swojej przestanie chodzić. Przez pana aż mi w oczach miga.

Doktor zatrzymał się. Von Koren zaczął mierzyć w Łajewskiego.

„Koniec!” – pomyślał Łajewski.

Lufa pistoletu skierowana prosto w twarz, wyraz nienawiści i pogardy, bijący z każdego rysu, z całej postawy von Korena, i to morderstwo, które za chwilę popełni uczciwy człowiek w biały dzień, w obecności uczciwych ludzi, i ta cisza, i nieznana siła, nakazująca Łajewskiemu stać, a nie uciekać – jakież to zagadkowe, niepojęte, straszne! Chwila, gdy von Koren mierzył, wydała się Łajewskiemu dłuższa niż noc. Spojrzał błagalnie na sekundantów; stali bez ruchu, okryci bladością.

„Strzelajże prędzej!” – myślał Łajewski i czuł, że jego blada, drżąca, żałosna twarz musi budzić w von Korenie coraz większą nienawiść.

„Ja go zaraz zabiję – myślał von Koren mierząc w czoło i już czując pod palcem cyngiel. – Tak, naturalnie, że zabiję...”

– On go zabije! – dobiegł nagle gdzieś z bliska rozpaczliwy okrzyk.

W tej samej chwili huknął strzał. Widząc, że Łajewski nie upadł, ale stoi w miejscu, wszyscy spojrzeli w tę stronę, skąd dobiegło wołanie, i zobaczyli diakona. Stał na przeciwnym brzegu, w gąszczu kukurydzy, blady, mokry i brudny, z mokrymi, lepiącymi się do czoła i policzków włosami, uśmiechał się jakoś dziwnie i wymachiwał mokrym kapeluszem. Szeszkowski zaśmiał się z radości, rozplakał się i odszedł na bok...

XX

W chwilę potem von Koren i diakon spotkali się przy mostku. Diakon był niezwykle wzburzony, ciężko dyszał i unikał spojrzeń zoologa. Wstyd mu było, że się tak przestraszył, że parady w mokrej, powalanej odzieży.

– Wydało mi się, że pan chce go zabić... – wymamrotał. – Jakie to sprzeczne z naturą ludzką! Tak, to jest wbrew naturze!

– Ale skąd pan się tu znalazł? – dziwił się zoolog.

– Niech pan nawet nie pyta! – machnął ręką diakon. – Diabeł mnie opętał: idź a idź... Więc poszedłem i ledwom ze strachu nie umarł w tej kukurydzy. Ale teraz chwała Bogu!... Chwała Bogu... Jestem z pana bardzo zadowolony – mamrotał diakon. – I nasz dziadek-tarantula też będzie zadowolony... A śmiechu co niemiara... Ale proszę pana na wszystko, nie mów pan nikomu, że tu byłem, bo oberwę za swoje od władz. Mogą powiedzieć: diakon był za sekundanta.

– Panowie! – zawołał von Koren. – Diakon prosi, byście nikomu nie mówili, że on tu był. Mogą go spotkać nieprzyjemności.

– Jakie to sprzeczne z naturą ludzką! – westchnął diakon. – Niech mi pan daruje, z łaski swojej, miał pan taką twarz, że byłem pewien: zaraz go pan zabije.

– Bardzo mnie korciło, żeby sprzątnąć tego szubrawca – odpowiedział von Koren – ale pan krzyknął, ręka mi drgnęła i spudłowałem. Cała ta procedura, diakonie, dla człowieka nie przyzwyczajonego jest niesmaczna i nużąca. Czuję się okropnie słaby. Jedźmy...

– Ja, za pozwoleniem pańskim, pójdę pieszo. Muszę się obsuszyć, bo zmokłem i zziębłem.

– Jak pan chce – powiedział zoolog omdlewającym głosem, wsiadając do powozu i przymykając oczy. – Jak wola...

Kiedy wszyscy snuli się koło powozów i wsiadali, Kierbałaj stał przy drodze i trzymając się oburącz za brzuch nisko kłaniał się i błyskał zębami; sądził, że panowie przyjechali tutaj, żeby rozkoszować się przyrodą i pić herbatę, nie rozumiał więc, po co znowu wsiadają do powozów. Orszak ruszył w zupełnej ciszy, a przed duchanem został tylko diakon.

– Iść duchan, herbata pić – oznajmił Kierbałajowi. – Chcieć jeść.

Kierbałaj dobrze mówił po rosyjsku, ale diakonowi zdawało się, że Tatar lepiej rozumie, jeżeli się do niego mówi łamaną ruszczyzną.

– Jajecznicę smażyć, sera dać...

– Chodź, chodź, popie – powiedział Kierbałaj kłaniając się. – Dam wszystko... Jest i ser, i wino... Jedz, co chcesz.

– Jak po tatarsku Bóg? – pytał diakon wchodząc do duchanu.

– Twój Bóg i mój Bóg to bez różnicy – odparł Kierbałaj nie rozumiawszy pytania. – Bóg jest jeden dla wszystkich, tylko ludzie są różni. Czy to Ruscy, czy Turki, czy Angliki – rozmaitych ludzi moc, a Bóg jeden.

– Więc dobrze. Skoro wszystkie narody czczą jedyne Boga, to czemu wy, muzułmanie, patrzycie na chrześcijan jak na odwiecznych wrogów waszych?

– Po co gniewasz się? – powiedział Kierbałaj chwytając się obu rękami za brzuch. – Tyś pop, ja muzułman, ty powiadasz – chcę jeść, ja daję... Tylko bogaty zastanawia się, jaki Bóg jest twój, jaki mój, a biednemu wszystko jedno. Jedz, proszę cię.

Gdy tak w duchanie prowadzono rozmowę teologiczną, Łajewski wracał powozem do domu i wspominał, z jakim uczuciem lęku jechał tędy o świcie, kiedy droga, skały i góry były mokre i ciemne, a nieznana przyszłość wydawała się przerażająca jak otchłań, która nie ma dna; teraz krople deszczu na trawie i kamieniach lśniły jak diamenty, przyroda uśmiechała się radośnie, a groza przyszłości została już poza nim. Spoglądał na ponurą, zapłakaną twarz Szeszkowskiego, na dwa inne powozy, w których siedzieli Ustimowicz i von Koren ze swoimi

sekundantami, i zdawało mu się, że wszyscy wracają z cmentarza, gdzie właśnie pochowano jakiegoś przykrego, nieznośnego człowieka, co każdemu psuł życie.

„To już skończone” – myślał o swojej przeszłości ostrożnie gładząc palcami szyję.

Z prawej strony przy kołnierzyku utworzyło się niewielkie obrzmienie długości małego palca – bolało jak po sparzeniu żelazkiem. Była to kontuzja od kuli.

A potem, już po powrocie do domu, zaczęły przesuwac się długie, dziwne godziny, słodkie i mgliste jak sen. Łajewski, jakby go wypuszczono z więzienia czy ze szpitala, wpatrywał się w znane od dawna przedmioty i dziwił się, że stoły, krzesła, okna, światło i morze budzą w nim uczucie żywej, dziecinnej radości, jakiej nie zaznał od lat. Błada, zmizerowana Nadzieja była zaskoczona łagodnym brzmieniem jego głosu i dziwnymi ruchami; chciała mu prędzej opowiedzieć wszystko, co się z nią działo... zdawało jej się, że on chyba nie słyszy, nie rozumie, a gdy dowie się o wszystkim, przeklnie ją i zabije, ale on słuchał, pieścił jej twarz i włosy, patrzył w oczy, mówił:

– Nie mam nikogo prócz ciebie...

Potem długo siedzieli w ogródku przytuleni i milczeli albo marząc o szczęśliwej przyszłości rzucali krótkie, urywane zdania, a jemu zdawało się, że nigdy w życiu nie mówił tak długo i tak pięknie.

XXI

Upłynęło trzy miesiące z górą.

Nadszedł dzień, w którym von Koren miał wyjechać. Od wczesnego rana padał rześisty, zimny deszcz, dał północno-wschodni wiatr i na morzu rozkołysała się wielka fala. Mówiono, że w taką pogodę parowiec chyba nie zatrzyma się na redzie. Według rozkładu miał przyjść koło dziesiątej rano, ale von Koren, który zaglądał do przystani w południe i po obiedzie, nie mógł dojrzeć przez lunetę nic poza szarymi falami i deszczem zasnuwającym horyzont.

Pod wieczór deszcz ustał, a wiatr zaczął się uciszać. Von Koren już pogodził się z myślą, że dziś nie wyjedzie, i zasiadł z Samojułenką do szachów; ale kiedy się ściemniło, ordynans zameldował, że na morzu ukazały się światła i że widziano rakietę.

Von Koren zaczął się spieszyć. Przerzucił torbę przez ramię, wycalował Samojułenkę i diakona, nie wiedząc po co obszedł wszystkie pokoje, pożegnał się z ordynansem i z kucharką i wyszedł na ulicę, mając uczucie, że coś zapomniał u doktora czy też u siebie w mieszkaniu. Na ulicy szedł obok Samojułenki, za nimi diakon ze skrzynią, a dalej ordynans z dwiema walizkami. Tylko Samojułenko i ordynans dojrzelili mętne światelka na morzu, reszta patrzyła w ciemności i nic nie wiedziała. Parowiec zatrzymał się daleko od brzegu.

– Prędzej, prędzej – naglił von Koren. – Boję się, że odejdzie.

Mijając domek o trzech oknach, do którego przeniósł się Łajewski wkrótce po pojedynku, von Koren nie wytrzymał i zajrzał przez szybę. Łajewski siedział, obrócony plecami do okna, i pochyliwszy się nad stołem, pisał.

– Podziwiam – powiedział zoolog półgłosem. – Jak on się wziął w karby!

– Tak, to godne podziwu – westchnął Samojułenko. – Od rana do wieczora tylko siedzi i pracuje. Chce spłacić długi. A żyje, bracie, gorzej od żebraka.

Dłuższa chwila minęła w milczeniu. Zoolog, doktor i diakon stali pod oknem i patrzyli na Łajewskiego.

– Otóż i nie wyjechał stąd, biedaczysko – powiedział Samojułenko. – A pamiętasz, jak się starał?

– Tak, mocno wziął się w karby – powtórzył von Koren. – Jego ślub, praca od rana do nocy dla kawałka chleba, jakiś inny wyraz twarzy i nawet inny chód – wszystko jest tak niezwykłe, że nawet nie wiem, jak to nazwać – zoolog dotknął rękawa Samojułenki i powiedział

wzruszonym głosem: – Powtórz jemu i jego żonie, że na wyjeźdźnym wyrażałem mój podziw dla nich, że im życzę wszystkiego najlepszego... i poproś go, żeby on, jeżeli to możliwe, nie miał do mnie żalu. On mnie zna. On wie, że gdybym mógł przewidzieć tę przemianę, zostałbym chyba jego najlepszym przyjacielem.

– Wstąp na chwilę, pożegnaj się.

– Nie. To jakoś niezręcznie.

– Czemu? Kto wie, czy zobaczycie się jeszcze kiedykolwiek.

Zoolog zamyślił się i powiedział:

– To prawda.

Samojlenko ostrożnie zastukał palcem w okno.

Łajewski drgnął i obejrzał się.

–Wania, Nikołaj Wasiljewicz chce się z tobą pożegnać – powiedział Samojlenko. – Zaraz wyjeżdża.

Łajewski wstał od stołu i poszedł do sieni otworzyć drzwi. Samojlenko, von Koren i diakon weszli do domu.

– Ja tylko na chwilę – zaczął zoolog i zdejmując w sieni kalosze już pożałował, że uległ wzruszeniu i przyszedł nie proszony. „Zupełnie jakbym się narzucał – stwierdził w myśli – a to niezbyt mądre”.

– Przepraszam, że robię panu kłopot – mówił idąc za Łajewskim do jego pokoju – ale za chwilę wyjeżdżam i coś mnie tknęło, żeby tu zajrzeć. Nie wiadomo, czy się jeszcze kiedykolwiek zobaczymy.

– Bardzo mi przyjemnie... Uprzejmie proszę – Łajewski niezręcznie podsunął gościom krzesła, jakby usiłując zatarasować przejście, a sam stanął na środku pokoju zacierając ręce.

„Szkoda, że nie zostawiłem świadków na ulicy” – pomyślał von Koren i powiedział stanowczym głosem:

– Niech pan mnie źle nie wspomina, Iwanie Andrieiczu. Nie można oczywiście zapomnieć o przeszłości, bo jest zbyt smutna, zresztą nie przyszedłem tu, żeby przepraszać czy tłumaczyć się. Czyniłem wszystko ze szczerego przekonania i nie zmieniłem swoich poglądów... Co prawda, widzę teraz, ku mojej wielkiej radości, że pomyliłem się co do pana, ale przecież i na równej drodze można się potknąć, bo taki już ludzki los: jeżeli nie mylimy się w sprawach najważniejszych, to popełniamy błędy w szczegółach. Istotnej prawdy nikt nie zna.

– Tak, prawdy nikt nie zna... – powtórzył Łajewski.

– No, do widzenia... Życzę panu wszystkiego najlepszego...

Von Koren podał Łajewskiemu rękę; ten uścisnął ją i ukłonił się.

– A więc proszę mnie źle nie wspominać – powtórzył von Koren. – Niech pan pozdrowi żonę i powie jej, jak żałuję, że nie mogłem się z nią pożegnać.

– Żona jest w domu.

Łajewski poszedł do drzwi przyległego pokoju i zawołał:

– Nadia, Nikołaj Wasiljewicz chce się z tobą pożegnać.

Weszła Nadieżda; stanęła przy drzwiach i nieśmiało popatrzyła ku gościom. Na jej twarzy malował się wyraz niepewności i lęku, a ręce trzymała jak pensjonarka, którą się karci.

– Wyjeżdżam, Nadieżdo Fiodorowno – powiedział von Koren – przyszedłem się pożegnać.

Ociągając się podała mu rękę, a Łajewski ukłonił się.

„Jakże jednak żałośnie wyglądają! – pomyślał von Koren. – Niełatwo im przychodzi to wszystko!”

– Będę w Moskwie i Petersburgu – powiedział. – Może państwu coś stamtąd przysłać?

– Cóż by? – odparła Nadieżda Fiodorowna i niepewnie zerknęła ku mężowi. – Chyba nic nie trzeba...

– Oczywiście że nic – przytaknął Łajewski zacierając ręce. – Pozdrowienia...

Von Koren już nie wiedział, co trzeba i co można jeszcze powiedzieć, a przecież gdy wchodził, zdawało mu się, że tyle ma do powiedzenia. Milcząc uściśnął dłoń Łajewskiemu i jego żonie i wyszedł od nich z ciężkim sercem.

– Co za ludzie! – mówił półgłosem diakon idąc za nim. – Boże, co za ludzie! Zaiste to ręka Boża zasadziła winnicę ową! Panie, Panie! Jeden zwyciężył tysiące, a inny całe chmary. Ni-kołaju Wasiliczu – zawołał w uniesieniu – niech pan zrozumie, że dzisiaj odniósł pan zwycięstwo nad największym wrogiem ludzkości – nad pychą!

– Ależ, diakonie! Jacy z nas zwycięzcy! Zwycięzcy mają postawę orła, a ten biedak jest nieśmiały, zahukany, kłania się jak porcelanowy Chińczyk, a ja... a mnie żal ogarnia.

Z tyłu rozległy się kroki. To dopędzał ich Łajewski, żeby też odprowadzić. Na przystani stał ordynans z dwoma walizkami, a trochę dalej – czterech wioślarzy.

– Ależ wieje... brr! – stęknął Samojlenko. – Na morzu musi być teraz sztormisko, że ha! W złą porę wybrałeś się, Kola.

– Nie boję się choroby morskiej.

– Nie o to... Żeby tylko ci durnie ciebie nie wywalili. Trzeba było jechać szalupą agencji. Gdzie szalupa agencji? – huknął do wioślarzy.

– Poszła, wasza ekscelencjo.

– A komory celnej?

– Też poszła.

– Dlaczego nikt nie dał znać? – rozżościł się Samojlenko. – Cymbały!

– Wszystko jedno, nie unos się... – powiedział von Koren. – No, bądź zdrow. Zostańcie z Bogiem.

Samojlenko uściśnął von Korena i przeżegnał go trzy razy.

– Nie zapominaj o nas, Kola... Pisz... Z wiosną będziemy na ciebie czekali.

– Do widzenia, diakonie – - powiedział von Koren ściskając diakonowi rękę. – Dzięki za towarzystwo i za miłe rozmowy. Pomyśl o ekspedycji.

– Boże, choć na skraj świata! – zaśmiał się diakon. – Czy ja się zarzekam?

Von Koren zobaczył w ciemnościach Łajewskiego i bez słowa wyciągnął do niego rękę. Wioślarze już czekali na dole i przytrzymywali łódź, która uderzała o pale, mimo że molo odgradzało ją od największej chwiejby. Von Koren zbiegł po trapie, skoczył do łódki i usiadł przy sterze.

– Pisz! – zawołał Samojlenko. – Dbaj o swoje zdrowie!

„Istotnej prawdy nikt nie zna” – myślał Łajewski podnosząc kołnierz u płaszcza i wsuwając dłonie w rękawy.

Łódka zwinnie wyminęła molo i wyszła na otwarte morze. Na chwilę znikła z oczu, ale natychmiast wynurzyła się z głębi i wjechała na szczyt fali, tak że widać było ludzi, a nawet wiosła. Łódka przepłynęła ze trzy sążnie, ale następna fala odrzuciła ją o dwa sążnie do tyłu.

– Pisz! – krzyczał Samojlenko. – Że cię też diabli ponieśli w taką pogodę!

„Tak, istotnej prawdy nikt nie zna...” – myślał Łajewski, tęsknie patrząc na niespokojne, ciemne morze.

„Łódką rzucają fale – myślał – posuwa się o dwa kroki naprzód i znów cofa się o krok, ale wioślarze są zawzięci, wytrwale poruszają wiosłami i nie boją się wielkich fal. Łódka wciąż sunie naprzód, już jej nie widać, minie pół godziny i wioślarze zobaczą statek, a za godzinę znajdą się przy schodni okrętowej. W życiu tak samo... Goniąc za prawdą ludzie idą dwa kroki naprzód i znów cofają się o krok. Cierpienia, błędy i nuda życia rzucają ludzi do tyłu, ale tęsknota za prawdą i niezłomna wola pędzą ich ciągle naprzód. I kto wie? Może się dopłynie do istotnej prawdy...”

– Żegnaaaaj! – zawołał Samojlenko.

– Nie widać już i nie słychać – powiedział diakon. – Szczęśliwej podróży!

Zaczął kropić deszcz.